№ 27. Warszawa, dnia 21 Czerwca (3 Lipca) 1886 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie rocznie rs. 7 kop. 20, półrocznie rs. 3 kop. 60, kwartalnie rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60. **Na Prowincyi** rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalnie rs. 2 kop. 50. **We Lwowie** kwartalnie w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cen. 80. **W Krakowie** kwartalnie w miejscu złotych reńskich 2 cen. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 3 centów 50. **W Poznaniu** kwartalnie w miejscu marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica Widok Nr 3.

Panie Redaktorze!

Trzy albo cztery lata temu, pisaliśmy do „Tygodnika” o doktorze Józefie Sabatowskim, który tak szczęśliwie wyleczył kilkanaście robotnic, dotkniętych chorobą nerwową, w jednym z fabrycznych zakładów południowej Francyi. Od tej chwili ziomek nasz, wyrobił sobie imię w Paryżu, gdzie nie małego używał powodzenia. Ale przedsiębierczy i nadzwyczaj rzutny umysł doktora Sabatowskiego, nie mógł poprzestać na tem. W Paryżu wielu miał współzawodników, ztąd szczupłe pole nie odpowiadało jego usposobieniom. Zapragnął też nowego świata, dla rozwinięcia swej działalności. W roku zeszłym pospieszył do Australii. Nie pewien czy rzeczywistość odpowie jego nadziejom, zostawił na czas jakiś żonę w Paryżu, aby nie narażać jej na trudy dalekiej żeglugi, w razie gdyby nie mając przed sobą pewnych widoków, zmuszony był powrócić do Europy.

Szczęście jednak nie odstąpiło doktora naszego. Wkrótce po przybyciu do miasta Sydnej, zjednał sobie zaufanie klientów, założył dom leczniczy i mógł śmiałem okiem poglądać w przyszłość. Wówczas to powołał do siebie żonę pozostałą w Paryżu. Pani Sabatowska z godną podziwienia odwagą, na jaką tylko prawdziwie kochająca kobieta zdobyć się może, puściła się sama jedna w daleką i niebezpieczną podróż, wśród zimy, na początku roku bieżącego. Na prośby nasze opisała nam kilkotygodniowe swe przygody. Obszerny jej list, a raczej dzienniczek posyłam szanownemu Redaktorowi, z przekonaniem, że te zapiski kreślone z dnia na dzień pod wpływem coraz to nowych wrażeń, przez osobę, która umiała patrzyć na wszystko co ją otaczało, zajmą uwagę czytelników „Tygodnika”.

Seweryna Duchińska.

Paryż, 15 Maja 1886 r.

LIST PANI SABATOWSKIEJ

rozpoczęty 14 Stycznia, na morzu Śródziemnem za Marsylią, zakończony w Sydnej 1 Marca 1886 roku.

Życzyłaś sobie, droga pani, wiedzieć najdrobniejsze szczegóły z mojej podróży, zaczynam więc od chwili wyjazdu mego z domu. Dnia 12 Stycznia, o godzinie piątej rano wsiadłam do powozu. Kazałam odwieźć się na dworzec Lyoński. Z mocno bijącem sercem, odmawiałam: *Kto się w opiekę odda Panu swemu* i *Pod Twoją obronę*.

Pociąg wyruszył o pół do siódmej. Do samej Marsylii śnieg grubo zaściełał ziemię: ten śnieg jak równie pomniejsze zamarznięte rzeczki, przypominały mi naszą kochaną Polskę. Na jednej stacyi wysiadłam zziębnięta, aby napić się gorącej kawy. Odchodząc od bufetu spostrzegam, iż rzemyk od woreczka podróżnego oderwany a raczej podcięty. Wielki był ścisk podróżnych przy bufecie. Szczęściem spostrzegłam się w samą porę: byłabym straciła wszystkie pieniądze, bilet na kolej, a co gorsza bilet na statek (wartości 1,300 franków).

Nazajutrz z rana przybyliśmy do Marsylii. Pojechałam natychmiast do portu. Zbytni pośpiech o mało, że mi na złe nie wyszedł. Bióro jeszcze było zamknięte, przystęp na statek nieprzygotowany. Chłopaki stojący w przystani, skoczyli co żywo, zdjęli z powozu mój kufer i pomniejsze paczki, złożyli to wszystko nad brzegiem morza. Po nocy bezsennej drżałam od zimna, tem bardziej, że wicher dął zimny; oglądałam się wkoło, czy nie ma gdzie jakiego schronienia. Spostrzegli to moi nieproszeni opiekunowie.

— Pani może spokojnie iść do miasta — mówią

z naleganiem — kawiarnia ztąd niedaleko—i ukazują ręką w ulicę.

— A moje rzeczy -- pytam — czy będą tu bezpieczne?

— My tu jesteśmy, będziemy ich pilnować, niech pani się nie troszczy.

Nie bardzo jakoś dowierzałam, patrzę im w oczy badawczo, gdy się waham co czynić, przystępuje do mnie marynarz.

— Nie słuchaj pani tych łotrzyków — rzecze— bagaże będą bezpieczne wtedy, kiedy je złożymy na statku.

Nie udało się niegodziwcom, pociągnęli mnie za to w inny, mniej kosztowny sposób: kazali zapłacić sobie sześć franków za wniesienie rzeczy na okręt, na co frank aż nadto wystarcza.

Zostałam przy rzeczach, wcale też nie widziałam Marsylii. W południe wypłynęliśmy z portu.

Statek nasz Yarra, należący do kompanii francuzkiej, długi na sto trzydzieści metrów, ogromnie obładowany. Pasażerów snuje się mnóstwo; różnonarodowe typy uderzają mnie w oczy, rozmaite języki potrącają mi ucho, istna to wieża Babel. Ja tylko jedna Polka.

Morze spokojne, dzień piękny, słoneczny. Mijamy drobne wysepki, statki krzyżują się w różnych kierunkach. Dzień zbiegł mi dosyć wesoło, czułam się zupełnie spokojna.

14 Stycznia.

Z rana gdym się obudziła w kajucie, przyniesiono mi kawę. Wypiłam ją ze smakiem, ale w chwilę potem schwyciła mnie morska choroba. Cały dzień okropnie cierpiałam. Zaledwie, że miałam dość siły, ubrać się i wyjść na pokład. Wiatr silnie kołysze okrętem, czarna chmura pokryła niebo. Twarze niemal wszystkie wybladłe; trudno nam utrzymać się na nogach. Nie schodzę z pokładu, na powietru czuję się lepiej.

15 Stycznia.

Dziś pogoda prześliczna, wytrwała przez dzień cały. Wszyscy rozweseleni. Widzimy po lewej ręce Włochy, po prawej rozrzucone wysepki. Góry bielą się pokryte sniegiem. Płyniemy koło wyspy Lipari a następnie Stromboli; z tej ostatniej dym bucha jak z komina. Okrążamy wybrzeża Sycylii, gdzie rzucić okiem ogrody i malownicze wioski. Dzień zszedł mi nadzwyczaj przyjemnie.

16 Stycznia.

Wiatr przypędził znowu ciemne chmury; po południu morze zaczyna się burzyć i pienić. Kapitan wychodzi na pokład, patrzy pilnie w stronę Zachodu, daje znak oficerom. Nagle powstaje ruch niesłychany, majtkowie uwijają się żywo, wdzierają po linach na statek, przytwierdzają ławki, zamykają okna. Strach ogarnął nas wielki. Napróżno doświadczeni starają się nas uspokoić, próżno zapewniają, że morze dobre, że nic złego nie grozi. Wśród tego zgiełku, przełożony majtków spadł z drabiny, rozbił sobie krzyż, pokaleczył twarz do krwi. Ja ciągle siedzę na pokładzie. Burza gwałtowna huczy, morze wybiega wysoko, zdaje się łączyć z obłokami. Bałwany rzucają wodę na pokład i miotają statkiem jak piłką. Piętrzą się góry z wody, tylko patrzyć jak wszystko pochłoną. Pasażerowie poschodzili do kajut, kilkanaście zaledwie osób zostało na pokładzie, do tych i ja należę. Chcę przynajmniej wiedzieć jak rzeczy stoją. Odmówiłam *Kto się w opiekę,* to mnie uspokoiło.

18 Stycznia.

Całą noc przesiedziałam na pokładzie, zmarzłam, przemokłam na wskroś. W głowie czuję okropny zawrot, mdłości dręczą mnie bezustannie. Wreszcie koło południa burza ucichła, przybliżyliśmy się do portu egipskiego Port Said. Wieczorem spotykamy mnóstwo światełek, radość powszechna.

— Ziemia! ziemia! — wołają liczne głosy, nie ziemia to jednakże, ale wielki statek płynący do Europy. Piękny, cudowny widok, tworzą te światełka na tle nocy, rozbujane w powietrzu, między niebem a wodą, odbijające się w ruchomej fali.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

PRÓBKI
Z ANTOLOGII POETÓW CZESKICH

w przekładzie polskim

Miriama.

V.

BOHDAN JELINEK.

Pieśń.

W kwietnią niedzielę u mych drzwi,
Drużyna marzeń wzdycha;
„Otwórz nam serce, my twe sny,
Noc taka cicha, cicha.”

„Na ścieżaj wszystkie okna, drzwi,
O pójdźcie, me marzenia!”
Jak smętna twarz górala, z mgły
Księżyc się wypromienia.

Deszcz pada ciepły, drobne mgły;
Bór śni w oponie cienia,
Na dworze cicho, wszystko śpi —
O pójdźcie, me marzenia!

VI.

JÓZEF W. SLADEK.

Coś blady taki. (Z cyklu: „Iskry na morzu”).

„Coś blady taki, paziu mój?”
„Mam wielki smutek, panie,
Najdroższa perła wpadła mi
W bezdenne mórz otchłanie.

„Uleciał dawny spokój mój,
Serce mi z bólu pęka,
Z tą perłą całe szczęście me,
Schłonęła wód paszczęka”.

„Co pochłonęła morska toń,
Nie wrócisz narzekaniem,
Jeśli to było szczęście twe,
Cóż czekasz? Skocz tam za niem!”

VII.

KAROL LEGER.

Wieczór jesienny. (Z cyklu: „Zapomniane marzenia”).

Już na ognisku płomień dogorywa,
Słyszysz, jak świerszczyk smętnie w ścianie śpiewa?

Chylisz się, skroń twa o skroń mą już trąca —
Lecz milczysz stale, trwożna jakaś, drżąca,
Wzrok spuszczasz wciąż ku ziemi?
Czemu z mych objęć pierzchasz, drogie ptaszę?
Dziecko! To tylko kruk skrzydły czarnemi
Uderzył w okno nasze!

Jakaż myśl tęskna powstaje ci w łonie?
Czemu ta chmura osiada ci skronie,
Czemu tych łez ulewa?
Może ci smutno, że wiatr tak wyje,
Że w opuszczone ptasie gniazda bije,
I suche liście zwiewa?

Może się boisz, że miłość przeminie,
Że ją, jak dzisiaj liście w drzew gęstwinie,
Rozwieje wiatr po świecie?
Daj ucałować usteczka wiśniowe,
Wierz mi, po zimie przyjdzie, słońce nowe
I wiosna, i nowe kwiecie!

Ogień zgasł, ciemność wszystko już okrywa,
Przytul się do mnie bliżej. Świerszczyk śpiewa!

BRATKI.

NOWELLA

PRZEZ

HELENĘ.

Było to w lecie. Na tle pogodnego nieba, przybierającego u krańca widnokręgę barwę zielonawą, przesuwały się śnieżne obłoczki, gnane lekkim wietrzykiem, który poruszał gałązki drzew i szumiał pośród liści. Na gmachu kąpielowym w Franzensbadzie, wybiła 7 godzina po południu.

Muzyka w parku, umieszczona w eleganckiej altance, zagrała na zakończenie skoczną polkę.

Ulicą Kaiserstrasse szedł wysmukły, piękny młodzieniec, którego cała postać i rysy twarzy zdradzały, iż był cudzoziemcem w tych stronach. Włosy miał kasztanowate, oczy wypukłe, niebieskie; łuki brwiowe energicznie zarysowane, usta małe ozdobione ciemnym wąsem; wyglądał na lat dwadzieścia parę. Wyraz twarzy otwarty, szczery, a przytem inteligentny, świadczył, iż był Polakiem. W jednem ręku niósł dwie róże: białą i pcnsową, w drugiej trzymał laseczkę, którą wywijał w takt, zdala słyszanej polki, szedł ku parkowi wesół i uśmiechnięty. Nagle usłyszał za sobą wykrzyknik:

— Jurek! co ty tu robisz?!

Odwrócił się i ujrzał przystojnego mężczyznę, ubranego z wyszukaną elegancyą, który wyciągał do niego rękę w jasnej rękawiczce.

— Ah! Artur, zkądże się wziąłeś?

— Bah! ja tylko na parę godzin przybyłem, bom ginął już z nudów w tym nieznośnym Karl-

sbadzie, gdzie jestem z matką i siostrą. Choć na jeden dzień wyrwałem się na wolność, gdyż przyznam ci się, iż niezbyt to miła rzecz być ciągle *à quatre pattes* przed mamunią i siostrunią, a one mnie ciągle przy sobie trzymają. Ale co ciebie tu sprowadziło? — zaczął prędko mówić Artur.

— Zaraz ci powiem, to długa historya, idę do parku, chodź ze mną, a wszystkiego się dowiesz.

To mówiąc wziął go pod rękę i zaczęli iść razem.

Artur Łychocki był sąsiadem z Królestwa, Jerzego Sieniawskiego. Skończywszy na wpół z biedą nauki, młodo rozpoczął życie próżniacze w Warszawie.

Był to wyborny typ młodego człowieka naszych czasów. Gdy postąpili parę kroków, Jerzy tak zaczął mówić:

— Ty bo ciągle siedzisz w Warszawie, że na wsi u rodziców nigdy cię zastać nie można. Wiesz, że ja także podczas karnawału byłem w Warszawie... ale ty wtedy byłeś w Krakowie... Ta moja bytność w mieście wiele wpłynęła na moje życie... Odrazu ci powiem: żenię się.

— Co? z kim, kiedy? chyba żartujesz?

— Ale nie, właśnie narzeczona moja z matką i siotrą jest tutaj i dlatego mnie tu spotykasz. Żenię się z panną Wilhelminą Horską.

— Oszalałeś, czy co takiego! bo doprawdy nie rozumiem; żenić się jak kto ma lat 22 i może zawracać głowy najpowabniejszym kobietom! Ależ ty jeszcze nie zaznałeś prawdziwych rozkoszy kawalerskiego życia... nie żyłeś tak jak ja wesoło, namiętnie, swobodnie. Zostaw żeniaczkę starym, zupełnie zrujnowanym, a ja cię na zimę wezmę do Warszawy, abyś sobie pobujał jak motylek z kwiatka na kwiatek i pobawił się w miłość dowoli.

— Bynajmniej, Arturze, ja poważnie zapatruję się na życie, na miłość. Moja narzeczona jest kobietą choć młodą, ale gruntownie wykształconą i anielsko dobrą, ze wszech miar zasługuje na miłość wierną, stałą, niezłomną, aż do grobu.

— Ha! ha! ha! — zaśmiał się sarkastyczno-cynicznie Artur — rozprawiasz o miłości jak 16-letnia pensyonarka. Ileż to lat ma ta twoja bogdanka?

— Siedmnaście.

— Ależ nie spodziewałem się, abyś mógł tak łatwo wpaść w sidełka kobiece; wydawałeś mi się zuchem. Myślałem przynajmniej, że to jakaś zalotnica wytrawna tak twoje serce podbiła... a to jak widzę kryzalida, boć zmiłuj się, siedmnaście lat, toż nawet kokietować nie umie.

— Doprawdy oburzasz mnie, Arturze! — zawołał gniewnie Jerzy — u was miejskich pustaków nie ma nic świętego. Nie rozumiecie nawet co to miłość dla kobiety, któraby nie wdziękami ciała, ale przymiotami duszy i anielskością charakteru zjednywała serca ludzkie. Według ciebie miłość, to zabawa jednego wieczora, to uczucie przechodzące z jednego przedmiotu na drugi. Oh! wiem o tem i dumnym czuję się z tego, że nie należę do grona ludzi podobnie myślących.

Artur uśmiechał się lekko.

— Jak widzę, mój Jurciu, zgubiony już jesteś, nie myślę cię więcej nawracać, mam nadzieję, że się jeszcze opamiętasz. No pokaż-że mnie twoje bóstwo o anielskim charakterze. Pewnie dla niej niesiesz te róże?

— Tak — odpowiedział Jerzy—jedną dla niej, drugą dla jej siostry. Obie te panie z matką są w parku. Przedstawię cię im; zobaczysz jaka moja narzeczona miła, jaka wesoła, rozmowna, prawdziwa szczebiotka, a oczy ma cudne, a usta jak malinka — i wyliczając długi szereg przymiotów i wdzięków swej ukochanej, Jerzy zapalał się, egzaltował, zapominając, że słuchacz niezdolnym był pojąć jego zachwytów.

Artur z politowaniem spoglądał na niego i myślał, z jakiem zajęciem towarzysze jego będą go słuchać w Warszawie, gdy im opowie, jak ci wieśniacy zabawnie się kochają. Powoli zbliżyli się do parku.

W poobiednich godzinach, park frazensbadzki roił się wielką ilością postrojonych osób. Wszystkie stoliki pozajmowane były przeważnie przez kuracyuszki, które pijąc podwieczorek, lub robiąc robotę ręczną, przypatrywały się fali różnobarwnego tłumu, który przechadzał się po głównej alei. Wkrótce Jerzy i Artur, przyspieszając kroku, zmieszali się z tym tłumem; przed nimi wciąż przesuwały się zgrabne postacie pań, wyglądające jak lalki wycięte z paryzkiego żurnala, prowadzące dla oryginalności psy różnego gatunku na jedwabnym sznureczku; niekiedy tylko jakiś wózek, wiozący wybladłą twarzyczkę zagradzał im drogę. Do uszów dolatywały zmieszane wyrazy różnorodnych języków; jasne barwy sukien dziwnie jaskrawo odbijały od skromnych czarnych ubrań; przechadzający wciąż się krzyżowali, dzieci klaskały rączkami w takt muzyki, gruppy siedzących osób, wdzięcznie rysowały się na tle zielonych kasztanów; w powietrzu rozlaną była woń kwiatów i perfum, a w promykach słońca igrały roje muszek. Minąwszy główną aleję, Jerzy pociągnął Artura w jedną z bocznych uliczek parku.

— Gdzież one są? — zapytał go zniecierpliwiony Artur.

— Zwykle siadają z książką i robotami zdala od gwaru. Moja narzeczona pewnie wolałaby przypatrywać się tłumom, ale matka jej i siostra lubią spokój i ciszę i dlatego panie te usuwają się zawsze w głąb parku... A!... patrz, otóż i one!

Pod rozłożystym kasztanem rzucającym miły cień w około, przed dużym stołem, założonym różnokolorowym jedwabiem i włóczką, siedziały trzy kobiety. Na zielonej ławce zajmowała miejsce poważna osoba, ubrana cała w czerni, trzymająca robotę kanwową na kolanach, była to hrabina Horska... Pomimo swych przeszło lat czterdziestu, białych jak śnieg włosów, bladości i zmarszczków, znać i dziś jeszcze, że była kiedyś piękną, nie tyle może klasycznością rysów, jak słodkim nader ujmującym wyrazem twarzy. Podłużne, siwe, nieco załzawione jej oczy patrzyły na świat niewypowiedzianie łagodnie i smętnie; można w nich było wyczytać, że choć smutną musiała być przeszłość tej kobiety, to jednak z poddaniem się i spokojem ducha umiała znosić wszystko co się Bogu spodobało na nią zesłać.

Liczne zmarszczki, przerzynające szlachetnie zarysowane czoło, świadczyły o cierpieniach i zawodach doznanych w życiu, o walkach które musiała staczać, o trudnościach, które miała do zwalczania. Ale mimo to słodki, pełen dobroci uśmiech okalał blade jej usta, serce jej zawsze pozostało pełne miłości do ludzi, nie było w niej ani kropelki ironii, zniechęcenia, lub goryczy. Znać kobieta ta z siłą chrześciańskiej duszy, z puklerzem wiary, umiała pokonywać bóle swego serca; w cichej pracy, w spełnianiu obowiązków i poświęceniu dla drugich szukała pociechy i pogody ducha. Na wszystkich czyniła hrabina bardzo miłe wrażenie; kto potrafił czytać w jej duszy, kto znał karty jej przeszłości, ten mimowoli schylał czoło przed wielką boleścią, przed cichą prawdziwą zasługą. W całej jej postaci rozlaną była powaga, jakaś smętna rzewność i spokój, który oddziaływał na otaczających. Smutny uśmiech tak dziwnie harmonizował ze łzawem spojrzeniem oczów, że w uśmiechu jej drżały łzy a w oczach z za łez lśniły odblaski przelotnego uśmiechu. Była to postać w całem znaczeniu tego słowa sympatyczna, wzbudzająca szacunek i poważanie. Obok niej z książką w ręku siedziała starsza jej córka, panna Herminia. Na pierwszy rzut oka nie wydawała się tak piękną, jak nią była w istocie; uderzały tylko jej kibić wysmukła i niepospolity, poważnie zamyślony wyraz twarzy. Duże, krucze sploty okrążały czoło otwarte, inteligentne, trochę dumne; rysy posiadały wyborną harmonią linii i przypominały rzeźby greckie z kararyjskiego wykute marmuru.

Oczy wielkie, czarne, ocienione długiemi rzęsami, które delikatny półton rzucały na matowo białe policzki, posiadały aksamitny połysk ciemnych bratków i prześliczne spojrzenie, spojrzenie to było bardzo poważne, spokojne, głębokie niewypowiedzianie. Zdawało się, że w tej głębi można utonąć i dojrzeć w niej głąb duszy równie wzniosłej i pięknej. Ciemne łuki brwiowe śmiało zakreślone świadczyły o energii i stanowczości charakteru. W całej postaci był rozlany jakiś wdzięk estetyczny; ubranie złożone z granatowej sukni i takiegoż kapelusza, miało za całą ozdobę bukiecik świeżych bratków, a jednak mimo wielkiej swej prostoty, strój ten w artystyczną zlewał się całość.

Przy bliższem poznaniu cała piękność panny Herminii okazywała się w swym blasku; zdaleka jednak wydawała się dumną, trochę sztywną i obojętną. Spokój, jaki zawsze gościł na jej twarzy, czynił ją podobną do matki, tylko, że matka odrazu ludzi chwytała za serce, a panna Herminia dopiero w rozmowie i w bliższem zetknięciu się obudzała sympatyą dla szlachetnych swych poglądów i uznanie dla niepospolicie bystrego umysłu.

Naprzeciw ławeczki, na nizkim krzesełku siedziało urocze, młodziutkie dziewczę. Złocisto blond loki w misternych pierścieniach spadały na zaokrąglone ramiona, muskały alabastrową szyjkę i wieńcem drobnych, jasnych skrętów okalały czoło. Rysy miała kształtne choć drobne, usteczka małe mocno różowe, ślicznie wykrojone, gdy się uśmiechała zdawało się, że to pączek wiośnianej róży otwiera swój kielich i rozchyla karminowe listki. Oczy jej były błękitne jak niebo, świecące jak gwiazdy, pełne życia, czarowne jak cała jej postać; były to także dwa bratki wdzięcznie uśmiechnięte do świata i przyszłości, ale nie te ciemne aksamitne bratki ogrodowe, o nie!

Można je było porównać prędzej do tych jasnoniebieskich bratków polnych, zakwitłych wśród pełni bogactw przyrody i swobodnego powietrza. Kibić jej przypominała topolkę i odznaczała się pięknemi bardzo kształtami. Wyglądała na lat 15, a kończyła już 17. Idealne to dziewczę ubrane było w lekką różową suknię i biały z mchowemi różami kapelusik. Patrząc na nią zdala można ją było wziąć za czarodziejkę, która na świetlano różowym obłoku spłynęła na ziemię, aby obdarzyć ją promiennym uśmiechem i wdzięcznym szczebiotem. Była to Wilhelmina młodsza córka hr. Horskiej, pieszczotliwie zwana Wilunią, a narzeczona Jerzego.

Piękny turkusowy zaręczynowy pierścionek, błyszczący na jej małym paluszku, dziwną sprzeczność stanowił z dziecinnym wyrazem twarzy Wiluni.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

RYCERZ MORA.

(Dokończenie.)

Zatrzymał konia i chciał się zawrócić. Przez chwilę stał tak na drodze miotany najrozmaitszemi uczuciami, gdy nagle zdało mu się, że słyszy turkot daleki wozu. Nadstawił uszów. Istotnie ktoś czesał po twardej drodze wyciągniętego kłusa wozem.

— Nim zawrócę — pomyślał sobie Bartek — trzeba wprzód obaczyć, kto jedzie.

W rzeczy samej, wkrótce na drodze coś zaszarzało, turkot się zwiększał i Bartek obaczył dwukołową biedkę, zaprzężoną w jednego konia z hołoblami. W biedce siedział jakiś tęgi mąż, otulony w kierezyę z kapturem na głowie. Mąż ów, ujrzawszy zbrojnego jeźdźca na drodze, zwolnił biegu koniowi i zdawał się ciekawie przypatrywać Bartkowi, o ile oczywiście mógł tego dokonać przy blasku miesiąca. Bartek też posuwał się stępa i tak jadąc naprzeciw siebie, w końcu stanęli. Siedzący w biedce, sięgnął do czapki i rzekł:

— Niech będzie pochwalony!

— Na wieki, wieków! — mruknął Bartek i spytał: — czy nie można się dowiedzieć, dokąd waść jedziesz?

— Czemu nie? — odparł jadący — czy mi się widzi, czy nie, ale zdaje mi się, że pan Koszarski z Wąsosza?

— Źle — pomyślał sobie Bartek — zna mnie. Ki dyabeł być to może? A któż waść jesteś? — spytał głośno.

— Jam jest Jacek Brzuchański z Częstochowy.

— Pan Jacek? a, to chwała Bogu, żem acpana spotkał! — wołał radośnie Bartek — jużem się bał jakiej zdrady. Zmiłujże się, mosanie Brzuchański, dokądże ty jedziesz?

— A dokądżeby? do Częstochowy.

— Ale tam są Szwedy!

— Wiem ja o tem lepiej od waści. Ale cóż waść tu robisz sam jeden po nocy na gościńcu? Gdzie jest teraz partya pana Mory? Bom przecie waszmość pana widział we środę rano w tej partyi?

— Ej! — machnął ręką Bartek rozpaczliwie — wszystko dyabli wzięli.

— Jakto dyabli wzięli? — porwał się z siedzenia Brzuchański, zrzucił kaptur z głowy i z biczyskiem w ręku zeskoczył na ziemię.

— A wszystko dyabli wzięli. Szwedy nam wczorajszej nocy skórę tak statarowali, że jeno kto mógł, to z duszą uciekał. Śladu nawet partyi nie ma... Biliśmy się, bili, aż też i nas pobili. Powiadam acanu, to wszystko psu na budę się nie zda.

— A pan Mora?

— A bo ja wiem, co się z nim stało?

— A Lniski?

— I o tym nie wiem. Widziałem jeno, że na samym początku kula armatnia uderzyła w jego konia i koń z nim padł, a wszyscy po nich tratowali!... Zabili go zapewne, czy ja wiem?

Brzuchański załamał ręce z rozpaczy i zawodził:

— A mój Boże! mój Boże! co się to porobiło! Takie piękne wojsko!

— Iii! co też acan gadasz? jakie piękne wojsko? Tałałajstwo samo i basta. Mój mości Brzuchański, to już sam Pan Bóg chciał, żem się z tobą zdybał; proszę ja ciebie, ja z tobą jadę do Częstochowy.

— Do Częstochowy? a tam po co?... czy waszmość pana skóra świerzbi? Miller, a zwłaszcza ten łotr ostatni Weychard z Wrzeszczewic, nie żartuje. U niego człeka na szubienicę wysłać, to jak orzech zgryzł! Chcesz waść wisieć? niemiłe ci życie, co?

— Jak jest, to jest, a ja muszę z acpanem jechać do Częstochowy.

— Jakże, tak? zbrojno i konno?

— Hm! czy ja wiem, jak lepiej.

— Ale to być nie może, co mi tu waszmość gadasz. To są koszałki, opałki. Po co waszmości do Częstochowy, kłaść zdrową głowę pod Ewangelię? Jedź lepiej do Wąsosza, wypocznij sobie. Matka waszmości, słyszę, łzy jeno leje i ręce łamie. Powiadają, że panna Jagnieszka z waszmością poleciała na wojnę. Prawda li to?

— A prawda!

— I gdzież ona jest? Co się z nią stało?

— Otóż to, widzisz acan, o nią idzie — rzekł Bartek, zsiadając z konia. — Jagusię Szwedzi złapali i trzymają ją w obozie pod Jasną-górą.

— Złapali ją? trzymają? a, to niech sobie trzymają... A waszmości co do tego?

— Ej! mój Brzuchański — rozgniewał się Bartek — tyś widzę z kretesem głupi. Jak Pana Boga kocham, nie ma z kim gadać na tym świecie. Niech sobie ją trzymają! Owa! jaka mi mądra głowa rzeźnicka... Ty świnie rzniesz, ale też i taką masz ambicyę. A ja tobie powiadam, jakem Bartek Koszarski, że Jagusi Szwedom nie dam. Choćby sam, to pojadę pod Częstochowę z szablą w garści i mocą ją odbiję. Odbiję, przysięgam Bogu!

Uniósł się w gniewie, trząsł, rękami wymachiwał i cały był czerwony jak alkiermas.

— Ostawić Jagusię Szwedom, jaki mi rajca. Bodaj cię jasny piorun trzasł z taką radą! Jaguś będzie moją żoną, a ja się z nią ożenię, rozumiesz acan, ożenię?

— A cóż pani matka na to powiedzą? — wtrącił z lekką wesołością w głosie Brzuchański.

— Co powiedzą? czy ja wiem, co powiedzą?...— mieszał się Bartek — hm!... matuś...

— Widzisz waszmość, panie Koszarski — począł poważnie Brzuchański — jam jest człek nie dzisiejszy i wielem też widział na świecie, choć mam, jak waść powiadasz, świńską ambicyę. Posłuchajże mnie co ja ci powiem. Matka waszmościa jest słyszę strasznie zagniewana na ową Jagusię i słusznie, boć ona pana zbałamuciła. Dziewka jest piękna, ani słowa i gładka, ale to tam źle jest w głowie, choć to krewniaczka słyszę waszmości. Jakże to być może, żebyś z krewniaczką się żenił, a potem pani matka na to nigdy nie pozwoli. Możesz-li waść żenić się bez błogosławieństwa matki!

— Ej! — cisnął się Bartek — co ty mi tam będziesz gadał, wiem ja to wszystko lepiej od ciebie i z Jagusią się ożenię!

— Ha! to się waszmość żeń; kiedy ci to pilno. Z upartym nie ma co gadać. Jeno to powiem, że szkoda waścinej krwi na to, byś latał za dziewuchą do Częstochowy. Bóg wie, co z nią Szwedy zrobili.

— Co ty gadasz? mnie Boruta mówił, że to naród paskudny i heretycki ale przecie rycerski.

— Złodzieje nie rycerze! ale co tu prawić po próżnicy. Napijesz się waszmość gorzałki. Zimno jest i mróz po kościach chodzi.

— A dobrze, napiję się!

Sięgnął tedy Brzuchański do biedki, wydobył z pod siedzenia puzderko z gdańską i kiełbasą wędzoną. Napili się i przekąsili.

— Ja bym waszmości poradził — prawił Brzuchański — żebyś lepiej wrócił do Wąsosza, matkę przebłagał, choćby bizuny za to wziąć...

— A nigdy! nie chcę bizunów!

— Hm! milsze to macierzyńskie bizuny, niż szwedzki stryczek. Ale kiedy waszmość nie chcesz, to nie. Więc do Częstochowy koniecznie?

— A koniecznie.

— No, kiedy tak, to ja waszmości chcę dopomódz.

— Mój Brzuchański serdeczny, ja tobie, jak Wąsosz będzie mój, wszystko co uczynisz dla mnie, dobrze wynagrodzę.

— Gruszki na wierzbie. Ja tam na waścinę nagrodę nie patrzę, jeno jeżeli co czynię, to z dobroci serca i z tej kompasyi jaką mam dla waszmości. Otóż tak uczynimy. Na koniu i zbrojno do Częstochowy jechać waść nie możesz, boby cię Szwedy złapali i obwiesili. Siądziesz waść na mój wózek, przywiążesz konia z tyłu i pojedziemy. Ztąd o milkę mieszka jeden szlachcic a mój przyjaciel, imci pan Gniazdowski. Tam ostawisz konia i zbroję, przebierzesz się za pachołka i będziesz mi powoził wózkiem. Tak pojedziemy do Częstochowy, a potem obaczymy co czynić należy.

Bartek był w siódmem niebie. Zgodził się na wszystko, konia uwiązał u biedki i ruszyli kłusem do Gniazdowskiego.

— Trzeba się śpieszyć — mówił Brzuchański— żeby przed świtaniem być w Częstochowie. Czas to najlepszy i Szwedy wtedy śpią jak zabici. Zawżdy będzie lepiej, wjeżdżając do miasta nie napotkać nikogo z tych rabusiów.

Popędzali więc konika, który był dzielnym, rażnym i wytrwałym i koło północka dobili się do wioski, gdzie ów przyjaciel Brzuchańskiego, Gniazdowski, siedział. Ledwie się dobili i dobudzili, tak tam spano mocno. Szlachcic, zarosły i ogorzały jak zbój przyjął ich ubrany w kożuch, pogadał na osobności z Brzuchańskim i dał bliższe wiadomości o losie Mory. Potwierdził, że jest rozbity ze szczętem, gadał, że w lesie na drodze do Kłobucka, Szwedzi zabili kijami jakiegoś szlachcica, a potem powiesili, że wczoraj chłopi sześciu trupów zdjęli z sosen i pochowali po chrześciańsku.

Opowiadanie to, niezmiernie przykre wrażenie wywarło na Bartku. Wściekał się i zżymał na Szwedów i gadał, że jak tylko Jaguś uratuje, sam zbierze sobie partyę i będzie bił Szwedów, gdzie się tylko da.

— Hm! hm! — mówił szlachcic — czasby już był wielki. Strasznie, mości dobrodzieju dokazują po Rzeczypospolitej. Miller wczoraj rozpisał prowiant na całą okolicę. Ja sam, mości dobrodzieju, choć chudzina jestem, muszę dostawić jutro do obozu pod Jasną-górę pięć korcy mąki lub krup i cztery owce. Bieda wielka i nieszczęście padło na Polskę. Ale słyszę, że tam gdzieś daleko, szlachta się konfederuje przeciw Szwedowi. Przejechał tu wczoraj pan Celary i gadał o tem,

jeno on sam jeszcze, mości dobrodzieju, nie wie, jako to jest i gdzie.

Gniazdowski konia i zbroję Bartka wziął na przechowanie, a dał mu za to kożuszek kusy, siermiężkę chłopską i czapę niebieską z barankiem czarnym. Buty Bartek musiał zdjąć i wziąć łapcie. Tak przebrany, patrzał na chłopa, a brudny był przytem strasznie, bo podobno od czasu ucieczki z Wąsosza, ani razu się nie mył, dla ciepła jak mówił. Pogadali jeszcze trochę, napili się gorzałki i przeżegnawszy się, siedli do biedki, bo czasu było niewiele, a do Częstochowy dobra jeszcze milka. Bartek siadł i powoził.

Świtało już, kiedy ujrzeli Jasnogórską wieżę ze światełkiem latarni u góry i ogniska dogasające obozowisk szwedzkich.

— Pilnuj się waść — gadał Brzuchański — i jedź dobrze. Gdybyśmy natknęli się na Szwedów, siedź cicho, nie odzywaj się już ja sam będę rozprawiał z tem tałałajstwem.

Na Bartku trochę skóra cierpła, ale poganiał konia i nie dawał po sobie poznać, że trochę tchórzy. Szczęściem, Szwedy spali i nie napotkali prawie nikogo. W mieście już tylko zdybali się z dwoma ludźmi z pułku Weycharda, Polakami.

— A kto to jedzie? — spytał z nich jeden, zaglądając w oczy Brzuchańskiemu.

— Ja, Jacek Brzuchański!

— A! to jegomość!... zkądże Pan Bóg prowadzi?

— Z okolicy! Chciałem kupić świń, bo to teraz przy obozie można dobrze zarobić, ale cóż, kiedy świń nie ma na lekarstwo.

— Jakże to może być, żeby świń nie było? — począł powątpiewać jeden z żołnierzy — żeby tak o co, jak o świnie w Polsce!

— A jednak nie ma. Jeżeli kto ma, to musi odstawić do obozu i sprzedać nie chce. Kiepskie czasy, powiadam waści.

— Że kiepskie, to kiepskie!

— No, do widzenia!

— Jedźcie z Bogiem!

Tym sposobem szczęśliwie dostali się do domu. Tu imcipani Brzuchańska, kobieta otyła ale gładka, przyjęła ich z wielką radością, bo się bała o męża. Pan Jacenty powiódł Bartka do izdebki pod strychem od podwórza i kazał mu tu siedzieć nie ruszając się nigdzie.

— Zaraz tu waszmości moja napali w piecu i jeść przyniesie co ciepłego, boś zmarzł zapewne okrutnie w kusej kożuszynie. Siedźże tu waść, nie ruszaj się, a ja, jeno dzień się zrobi, pójdę do obozu na zwiady. Może Kostusię obaczę, ona to tam lepiej o wszystkiem wie.

Siedział więc Bartek. Pani Jacentowa zaraz się zjawiła, zasapana mocno z narączkiem drew, napaliła w piecu; potem przyniosła gorącego wina z korzeniami, usłała łóżko i kazała Bartkowi iść spać:

— Wyśpij się mój robaczku, wyśpij! — gadała — boś tam słyszę wojował na zimnie i mrozie. Odpocznijże sobie teraz. Mój nie tak prędko wróci.

Jakoż Bartek spał i spał, a nikt go nie budził. O zmroku dopiero zjawił się pan Jacenty i doniósł, że Jagusia wyratowana przez Kostusię, siedzi sobie w klasztorze, jak u Pana Boga za piecem.

— A, to i ja pójdę do klasztoru! — zawołał Bartek.

— Hm! nie byłoby to źle — odrzekł Brzuchański — boć tam i rąk trzeba do obrony i pisma byś też waść zaniósł do księdza przeora. Ano dobrze nocą waszmościa przeprowadzę.

Jakoż nocą, skradając się i narażając na śmierć dotarli do murów klasztornych, gdzie już Kostusia na nich czekała. Bartek więc wkrótce znalazł się przy swej Jagusi i należał do walecznych obrońców Jasnej-góry.

XXI.

Biedny Mora dogorywał tymczasem w nędznej chacie leśniczego, w głębi sosnowego boru, na pustce samotnej, po której jeno wichry i wilki chodziły. Zebrało się koło niego wraz z Borutą kilkanaście koni, najdzielniejszych ludzi, hajduków starościny Grzybowskiej, Koszarskiego i Boruty. Był też i Buchta, reszta wszystko gdzieś rozleciało się z kretesem.

Mora był bardzo ciężko raniony. Miał dwa głębokie cięcia szablą w głowę i jedno w obojczyk. Przez rany w głowie mózg było widać. Wpadł w gorączkę i majaczył. Bóg wie co wygadywał, a ciągle jeno albo o Szwedach, albo o Kasi Warszyckiej. Zkąd tu wziąć ratunku dla chorego? — myślał sobie Boruta, w tej pustce, gdzie nawet czystej i dostatniej szmaty płóciennej do owiązania głowy znaleźć nie można było. Położono chorego na pustym, twardym, garścią siana pokrytym tapczanie, w izbie dusznej, kurnej, smrodliwej, gdzie gromady kur i prosiaków chodziły. Nie było co jeść, czem wyżywić ludzi i koni. Te ostatnie musiały stać na dworze, na mrozie, bo nie było ich gdzie pomieścić.

Posłano wprawdzie umyślnego po jakąś starą znachorkę babę do wsi, o milę ztąd, ale to nie wiele pomogło. Baba przyjechała dobrze z południa, pojrzała na chorego, okadziła go ziołami, pomamrotała coś i poszła.

— Nie ma co! — myślał Boruta — trzeba do Dankowa jechać. U kasztelana jest sławny medyk, Niemiec czy Włoch, może poradzi co Morze.

Nakazał więc pod wieczór wytoczyć duży wóz drabiniasty, nakłaść weń co się jeno zmieści słomy i siana, na tem ułożono tak silnie majaczącego Morę, że się rzucał i chciał uciekać i ruszono do Dankowa. Do siedziby kasztelana krakowskiego było dobre dwie mile, po drogach bocznych, pełnych grudy, korzeni i dołów. Noc była mroźna, ta sama noc, w której Bartek zdybał Brzuchańskiego, ale widna od miesiąca. Jechano bardzo wolno i bardzo ostrożnie. Chory co chwila prawie się zrywał i krzyczał.

— Kasiu! Kasieczko!

Był przytem tak silny, że dwóch ludzi trzymać go musiało. Cały ten pochód podobny był do pogrzebu. Posuwano się wśród czarnych lasów, pełnych ciemności nieprzejrzanych, migocących srebrem od miesiąca, szemrzących ponuro. W ich głębi wyły i hukały puhacze. Wiatr chwiał szczytami starych sosen, naginał je lekko, jak gdyby kłaniały się trupowi ludzkiemu. Żołnierze otuleni szczelnie, drzemali na koniach, wlokących się noga za nogą za wozem. Koniska były zmęczone, zgłodzone, ludzie zziębnięci, zrozpaczeni, głodni. Sam Boruta stracił fantazyą i gadał do Buchty:

— Mosanie, to wszystko psu na budę się nie zda. Nie damy my sami rady Szwedowi. Jeśli nam obca potencya z pomocą nie przyjdzie, to *actu de nobis*. Radźmy panie bracie o sobie. Co będziemy czynili?

— A cóż waść myślisz z rannym zrobić? — pytał Buchta.

— Odwiozę go do Dankowa. U kasztelana jest sławny medyk, niech go tam leczy. Ale my coś musimy ze sobą uczynić. Psia to wojna w zimie i z niczem. Porwaliśmy się z motyką na słońce.

— Rozejdziemy się chyba panie bracie.

— A może! Czy ja wiem! Poradzę się kasztelana. Odpoczniemy u niego trochę, podkarmimy konie i obaczymy.

Całą noc wlekli się do Dankowa przez wielkie lasy Mokrzańskie. Dobry już był dzień, gdy stanęli w miasteczku. Mora miał się rano trochę lepiej, nie rzucał się przynajmniej i nie szarpał. W Dankowie właśnie dzwoniono w kościele w miasteczku na wotywę i w chwili, gdy cała kalwakata z chorym Morą wjeżdżała na rynek, zetknęła się z inną kalwakatą jadącą do kościoła. Była to kasztelanka, idąca pieszo w towarzystwie swych panien dworskich i kilku hajduków dla bezpieczeństwa.

Ujrzawszy Borutę, kilkunastu zbrojnych jeźdźców i wóz, na którym ktoś leżał, piękna Kasia dziwnie pobladła i stanęła, jakby piorunem rażona. Ogarnęły jej serce jakieś czarne, ponure, złowieszcze przeczucia. A właśnie Boruta ją spostrzegł. Zeskoczył z konia i zdjąwszy kołpak z głowy, szedł prosto do kasztelanki, a cisza była taka, że w całym rynku słychać było brzęk jego ostróg. Kasztelanka poznała Borutę i ludzi stojących z minami smutnemi za wozem i bladła coraz bardziej, patrząc wystraszonemi oczami na idącego ku niej rycerza. Krzepiąc się wszelkiemi siłami, szepnęła do stojącej obok siebie służebnej:

— Marysiu, trzymaj mnie, bo upadnę!

Boruta tymczasem stał już przed nią i kłaniał się. W jego czarnych oczach odbijało się bezdenne morze melancholii.

— Jaśnie wielmożna kasztelanko! Oto stają przed tobą, jako poseł smutnej nowiny. W krwawej potrzebie z najeźdcą, stoczonej dnia onegdajszego pod Częstochową..

Kasztelanka, blada jak trup, przymknęła swych dwoje niebieskich ocząt i słaniając się na ramię swej służebnej, wyciągnęła rączkę ku Borucie, jak gdyby go chciała powstrzymać i szepnęła:

— Rycerz Mora!...

— Leży tu na tym wozie ciężko ranny i nieprzytomny. Błagamy o gościnność dla niego i opiekę...

Kasztelanka krzyknęła i zemdlała. Rzucono się ją ratować. Z domków mieszczańskich powypadali ludzie i gromadką zbili się koło kasztelanki i rannego. Kobiety zawodziły i płakały. Żołnierze Boruty pozsiadali z koni i gawędząc użalali się na swój los. Poczciwe kobieciska Dankowskie znosiły im jadło i płacz był ogólny w ów dzień w Dankowie wśród posępnego, pochmurnego dnia zimowego.

Tymczasem kasztelankę otrzeźwiono i poniesiono do zamku, a za tym orszakiem pociągnął Boruta, Buchta i wóz z rannym Morą. Oczywiście stary kasztelan Warszycki w obec takiej niedoli zapomniał o wszystkiem i Morę przyjąć kazał. Przeniesiono go rzucającego się i dziwy prawiącego w gorączce. Kasztelan, obaczywszy go, szeptał:

— To, to Żwan jest. Anim przypuszczał, że Mora to Żwan! Zaraz posłał swego medyka Włocha, by Morze opatrzył rany i leczył go. Ale medyk kiwał głową i mruczał coś pod nosem niechętnie.

Kasztelanka, kiedy przyszła do siebie, zaraz chciała biedz do rannego, ale ojciec stawił tem

silny i stanowczy opór. Dopiero kiedy medyk rzekł.

— Nie będzie z tego chorego nic, zamrze nie doczekawszy wieczora.

Dopiero wtedy kasztelan pozwolił.

I tak byli kochankowie ze sobą. Kasztelanka blada patrzała na piękną twarz rycerza Mory, którą powoli powlekały melancholijne cienie śmierci. Koło południa zerwała się wielka śnieżna burza z trzaskiem i łoskotem wichru, z tumanami zawiei ze świstem i rykiem niezwykłym. Ciemność taka zaległa, że musiano światła pozapalać.

I przy migocącym lampki blasku, przy łoskocie burzy i świście wichru, rozbijającego się o okna zamku, konał Mora...

Nad wieczorem przypadła do zamku dankowskiego, szukając schronienia przed burzą, starościna Grzybowska. Dowiedziawszy się, że Mora w Dankowie i że kona, załamała ręce.

— *Mon Dieu quelle destinée!* — wołała. — Jam mu od króla Jegomości przywiozła patent na obersztlejtnanta i nakaz by szedł do boku królewskiego pod góry karpackie, a on kona!

Jakoż nie miał już Mora być ani rycerzem, ani wodzem, ani obersztlejtnantem; on, w ów posępny wieczór zimowy, z rykiem burzy zimowej oddawał smutnego ducha swego Bogu.

Walery Przyborowski.

Król Ludwik Bawarski.

Nieszczęśliwy monarcha, którego śmierć tak nagła i niespodziewana przeraziła, śmiało rzec można, cały świat ucywilizowany, był najstarszym synem Maksymiliana II i królowej Maryi, księżniczki pruskiej, córki księcia Wilhelma. Urodził się 25 Sierpnia 1845 roku, a wstąpił na tron w roku 1864 (10 Marca), jako dwudziesto letni zaledwie młodzieniec, odziedziczając po ojcu piękne tradycye i wielką miłość ludu.

Młodziutki król trzymał się wiernie tradycyi ojcowskiej i wszystko pozostawił po dawnemu.

W pierwszych latach okazywał trochę zmysłu politycznego, wkrótce jednak doszedł do przekonania, że głównym jego obowiązkiem jest prowadzić dalej wielkie budowle swego dziadka i ojca, które zmieniły Monachium w nowoczesne Ateny niemieckie. Manii więc budowniczej oddał się z całym zapałem, a w miarę jak ona wzrastała, niknęło i zajęcie się interesami państwa, a wzmagał się wstręt do wszelkich spraw politycznych.

Rządzili więc ministrowie jak chcieli, a król raczył zaledwie podpisywać podsuwane mu papiery, nie troszcząc się wcale ani o treść ich, ani o doniosłość rozporządzeń, wydawanych w jego imieniu. Do tej apatyi przyczyniło się także wielce zjawienie się na dworze bawarskim Ryszarda Wagnera. Król obsypał go niezliczonemi łaskami, oddał mu się duszą i ciałem i niebawem kompozytor „Lohengrina" stał się pierwszą u dworu królewskiego figurą, najzaufańszym jego przyjacielem, nieodstępnym niemal towarzyszem i wszechpotęga kompozytora doszła do tego stopnia, że w Monachium zaczęto otwarcie przeciw niej sarkać. Król Ludwik zląkł się agitacyi przeciw Wagnerowi i w Grudniu 1865 roku oddalił „muzyka przyszłości" ze swego dworu, zabraniając mu czas jakiś wstępu do Bawaryi.

Sprawa ta podniesiona do znaczenia pierwszorzędnej kwestyi politycznej, wywołała formalne przesilenie i to właśnie najlepiej dowodzi, jak chorobliwym był od samego początku umysł tego króla, dla którego nadworny kapelmistrz stanowił więcej, aniżeli wszystkie interesa stanu i tronu.

Poniósłszy tak ciężką ofiarę dla „wiernego ludu", król Ludwik po wyjeździe Wagnera, opuścił Monachium. Przemieszkiwał w licznych swych zamkach, w otoczeniu najpoufalszych dworaków, w stolicy nie zjawiał się prawie nigdy, publicznie nie ukazywał się wcale. Nawet w roku 1866, podczas wojny austryacko-pruskiej, nie wyszedł ze swej apatycznej bierności. Rozstrzygały się losy Bawaryi i stanowiska jej w Niemczech, armia bawarska występowała do walki, a król siedział samotnie na tym samym zamku Berg, w którym życia swego dokonał, nie troszcząc się wcale o nic i nie widując się prawie z ministrami, gniewny, że wymuszono na nim rozłączenie się z Wagnerem i zatopiony cały w nowych kompozycyach swego przyjaciela. Sądzono zrazu, że to chwilowy tylko paroksyzm, który niebawem minie, przedłużenie się jednak tego stanu zaczęło wzbudzać coraz poważniejsze obawy w rodzinie królewskiej, a zwłaszcza w jego matce, która postanowiła bądź co bądź syna jak najprędzej ożenić. Małżeństwo miało być jedynym ratunkiem i środkiem zapobieżenia dalszemu szerzeniu się choroby. Liczono, że młoda żona wyrwie go z apatyi, że rozbudzi uśpioną i rozmarzoną naturę i wróci Bawaryi króla, a matce syna. Znając dziwaczne usposobienie Ludwika, nie szukano dlań żony na obcych dworach, łatwo można było przewidzieć rozliczne trudności i uchybienia ze strony króla, który etykiety nienawidził, od wszelkich przyjęć dworskich stronił i łatwym w stosunkach rodzinnych nie był. Wybór padł więc na kuzynkę króla, córkę ks. Maksymiliana, jedną z tych czterech księżniczek, które nazywano najpiękniejszemi w Europie, a które rzeczywiście słynęły z wdzięku i urody. Młodsza siostra cesarzowej Elżbiety austryackiej, królowej Neapolitańskiej i ks. Thurn Taxis, księżniczka Zofia, została narzeczoną królewską. Cokolwiekby zaszło, cała sprawa pozostałaby w rodzinie i skandal nie miałby dalszych następstw. Przezorność królowej-matki okazała się zupełnie usprawiedliwioną. Pomimo wielkiej piękności i wiekszych jeszcze umysłowych zalet swej narzeczonej, pomimo tego, że jak twierdzą niektórzy, król istotnie był zajęty tą, którą matka przeznaczała mu na żonę, narzeczeństwo Ludwika potrwało zaledwie parę miesięcy. Zerwane nagle z własnej inicyatywy królewskiej, z powodów, które dotychczas pozostały w tajemnicy, małżeństwo króla odwołano, a księżniczka Zofia poszła niebawem za księcia d'Alençon, jednego z młodszych stryjów hr. Paryża. To co miało uratować króla od jego apatyi i mizantropii, pogrążyło go w niej jeszcze bardziej. Od tej chwili datuje się początek nowego zboczenia królewskiego: wstręt do kobiet i unikanie ludzi.

Odtąd wszelkie już próby spełzły na niczem. Król na widok niewiasty wpadał w wściekły gniew i posuwał się nawet do brutalstwa. Publicznie nie ukazywał się już nigdy, w Monachium bywał bardzo rzadkim gościem, ministrów osobiście nie przyjmował wcale, a nikt z rodziny nie miał do niego wstępu.

(Dokończenie nastąpi.)

WIADOMOŚCI z pod naszej strzechy i z obczyzny.

Wystawa robót kobiecych w zakładzie hr. Zyberg-Platerówny trwała tylko przez dni kilka i już zamknięta została. Znajdowały się na niej roboty uczenic młodych od lat 10 zacząwszy, rozpoczynające się od zwykłych ściegów, znaczenia bielizny, wprawiania wstawek, cerowania i łatania, aż do robót coraz trudniejszych, szydełkowych, drutowych, haftów, kroju bielizny i sukien i t. d.

Zakład ten podzielony jest na dwa oddziały, z których jeden przygotowawczy trzech klasowy, a drugi fachowy już wyłącznie poświęcony jednemu rodzajowi pracy kobiecej. W oddziale pierwszym uczenice przebywają lat trzy, w drugim tak długo jak wymaga rodzaj obranej pracy do nauki, która odbywa się codziennie od wpół do dziewiątej do trzeciej po południu. Uczenice są przychodnie i stale mieszkające. Koszt opłaty pensyonarek wynosi najwyżej rubli 200 przez dziesięć miesięcy, przychodnich zaś od trzech do sześciu rubli miesięcznie.

Z okazów iakie się znajdowały na tegorocznej wystawie inwentarza, do ogrodu zoologicznego zakupiono kilka par królików, pochodzących z hodowli p. Konrada Skierkowskiego (w Lublinie), który, zająwszy się chowem ich na wielką skalę, stara się o rozpowszechnienie w kraju ras szlachetniejszych, jak angorskiej czyli jedwabnistej, służącej na wełnę bardzo cenną, afrykańskiej (królik-baran), doskonale znoszącej nasz klimat, leporydów czyli zajączków i t. p.

Według objaśnień hodowcy, z królików rasowych można mieć znaczne korzyści. Dają one do użytku mięso, futro i skórę. Mięso jest bardzo smaczne na rosół, potrawki, pieczyste, a smakiem przypomina drób lub zwierzynę, zależnie od karmienia królików.

Włos króliczy połyskujący, gęsty i ciepły, służy na wyroby najdroższych futer, przywożonych do nas z zagranicy pod rozmaitemi nazwami; w Belgii, w Gent są fabryki, zatrudniające dziennie 2,000 robotników jedynie wyprawianiem i farbowaniem skórek króliczych, które następnie jako drogie futra rozsyłają po całej niemal Europie; znajdują się też podobne fabryki w Lipsku, w Lesznie w Poznańskiem. Skóra królicza wyprawna, nadaje się na rękawiczki grubsze zamszowe, a nawet najdelikatniejsze kobiece; inna znów znacznej grubości przydatna być może na kamasze. Zastosowanie to w wyprawianiu skór króliczych po raz pierwszy u nas przedstawił na tegorocznej wystawie p. Skierkowski i doszedł do dobrych rezultatów, a wyprawa skór jest tak łatwa, że trudnią się nią, jak u hodowcy, samouczki-służące. Wreszcie, mówiąc o różnych z królików użytkach, dodać należy, że długa, delikatna, jedwabnista wełna królików angorskich, łatwo daje się prząść i służy do wyrobów drogich szali angorskich, chustek, dywanów, serwet i t. p.

Rozpowszechnienie tych użytecznych zwierząt w celach przemysłowych byłoby w kraju pożądanem, a przyszłoby łatwo wobec taniego chowu królików, jedzą one wszelkie odpadki kuchenne i t. p., jak i wobec prędkiego i obfitego rozmnażania się ich, gdyż jedna para królików rasowych, ważąca

od 12 do 18 funtów, co rok dać może do 80 młodych, a te znów w piątym miesiącu już mogą mieć swoje potomstwo.

Amatorka Totalizatora. Na ostatnich wyścigach na polu Mokotowskiem, zwracała uwagę totalizatorowiczów młoda kobieta, która na równi interesowała się gonitwami, a co więcej na równi z nimi szukała emocyi przy owem „naczyniu dziwnego nabożeństwa.”

Wielu było zachwyconych z posiadania tak powabnej koleżanki na tem polu, a nie jeden szedł za jej instynktem, stawiając na wybranego przez nią konia. Przyznać jednak należy, iż większość z zadziwieniem przyjęła ten pierwszy krok do równouprawnienia kobiet w dziedzinie totalizatora.

Wyścigi więc wydały właściwy sobie plon, podniesienia i urozmaicenia... zdrożnego hazardu. W wyścigach na welocypedach najciekawszy był na trycyklach pani N. N. żony inżyniera z Piotrkowa ubranej po męzku i pani Hermann w zwyczajnej sukni, która pierwsza przybyła do mety i otrzymała medal srebrny.

Na zebraniu koleżeńskiem byłych studentów wydziału prawnego tutejszego uniwersytetu z roku 1876 znajdowało się 33, którzy przepędziwszy z sobą dzień cały, nietylko zrobili składkę na doraźną pomoc dla wdowy zmarłego kolegi w ilości rubli 129, ale nadto postanowili zjechać się znowu za lat 5, z tem obostrzeniem, że z dziesięciu nieżonatych, który przez ten czas nie ożeni się, będzie płacić podatek za celibat.

Myśl bardzo piękna, była ona już nieraz podnoszoną... bez skutku wprawdzie, ale przyjdzie czas, że się urzeczywistni. W Stanach Zjednoczonych bardzo się nią zajmują, małżeństwo tam szczególnej doznaje opieki, a nawet takowa rozciąga się nawet na żony w celu zabezpieczenia ich od dotkliwej brutalności mężów.

Już w roku 1883 ustanowiono w prowincyi Maryland karę rózeg za pobicie żony przez męża i rozporządzenie to przyniosło doskonałe rezultaty. Obecnie zamierzają wprowadzić ten sam środek do Pensylwanii, gdzie gwałty „mężów i panów” miały w ostatnich czasach charakter epidemiczny. Rózgę uznają w danym wypadku w Ameryce za najtańsze, oraz najskuteczniej działające lekarstwo; areszt więzienny naraża państwo na koszty utrzymania winowajców i pozbawia rodziny ich siły zarabiającej na życie, zaś kancelarye, w których dokonywają się operacye skórne, niewiele wymagają pieniędzy, a na winowajców rzucają zbawienny postrach oraz wstyd, który niejednego zuchwałego męża utrzyma w granicach należytej galanteryi względem swej połowicy.

Restauracyi ruin zamku Chęcińskiego, na licytacyi, podjął się starozakonny przedsiębiorca, który czynność swoją rozpoczął od tego, że począł rozbierać resztki starych murów, aby gruzem z nich, reperować zagrożone upadkiem baszty.

Czynność ta wywołała w miasteczku alarm, który aż municypalność poruszył i ta zastrzegła nietykalność resztek ścian.

Wielka szkoda, pisze „Gazeta Kielecka”, że roboty tego rodzaju nie są prowadzone sposobem administracyjnym, tem więcej, że kilka osób pragnęło podjąć się tej reperacyi i powiększyć sumę anszlagową datkami, zebranemi wśród kółka znajomych; tymczasem fiskalność niektórych osób, sparaliżowała dobre zamiary.

Hołd pośmiertny. Dnia 13 Czerwca 1849 roku w potyczce pod Teth koło Raby na Węgrzech zginął Władysław Dzwonkowski, rotmistrz huzarów węgierskich. Mieszkańcy tej wioski postanowili w tym roku wystawić mu pomnik na cmentarzu miejscowym, kosztem składkowym 500 złr. i dla odsłonięcia jego w 37 rocznicę zgonu nieboszczyka, zaprosili przeszło 300 osób z Węgier, tudzież reprezentacyą stowarzyszenia polskiego w Budapeszcie, które wydelegowało 15 członków swoich z prezesem Stempieniem na czele. Deputacya ta była przedmiotem owacyi przez całą drogę. Witano ją na wszystkich stacyach uroczyście, mianowicie w Rabie zkąd osobny pociąg około 500 osób zawiózł na miejsce. Tam w uroczystym pochodzie wyruszono na cmentarz.

Przed cmentarzem ustawiona była brama tryumfalna, ozdobiona godłami polskiemi. Oczekujące duchowieństwo rozpoczęło ceremonią poświęcenia pomnika, wznoszącego się na grobie dwóch mężów razem poległych i jeden grób wspólnie dzielących: Władysława Dzwonkowskiego i Edwarda Minstera. Pomnik z marmuru, w kształcie ściętej piramidy, wysokości trzech metrów, na górnej części ozdobiony węgierskim napisem złoconemi głoskami. Poległemu bohaterowi w bitwie pod Czarną dnia 13 Czerwca 1849 roku, rotmistrzowi Władysławowi Dzwonkowskiemu w dowód wiecznej pamięci, wdzięczny lud węgierski; dolny napis tej samej treści dla Edwarda Minstera. Po odbytej ceremonii nastąpiły przemówienia znaczące: pierwszy zabrał głos pastor znany Horwath i w długiej przemowie streściwszy historyczny przebieg walk z roku 1848 — 49, podniósł zasługi polaków, potrzebę łączności z nimi, przyczem kładziono nacisk na tę okoliczność, że Węgry, które miały częste zatargi prawie ze wszystkiemi mocarstwami Europy, tylko z sąsiednią dawną Polską ich nie miały i że Węgrów z Polakami łączy wspólny interes od lat wielu.

Następnie złożono na stopniu pomnika przeszło 30 wieńców od różnych stowarzyszeń i odśpiewano kilka pieśni odpowiedniej treści.

O godzinie 5 odbył się bankiet z udziałem 300 osób. Szereg toastów rozpoczął przewodniczący komitetu, wznosząc toast na cześć pary królewskiej, Stępień na cześć Węgrów, na co odpowiedział Kisz na cześć Polaków i wiele innych na cześć łączności, zgody, braterstwa i t. p.

Około godziny 11 wieczór goście przeprowadzeni tłumnie odjechali z powrotem, żegnani tysiącznemi okrzykami prawdziwego zapału.

Złota róża. Dziennik włoski, „Osservatore Romano”, podaje opis złotej róży cnoty, którą Papież przesłał hiszpańskiej królowej-regentce, Maryi Krystynie. Jest-to właściwie krzak różany z 9-ciu kwiatami i 14-tu pączkami ze szczerego złota, wiernie z natury skopiowanemi. Róża środkowa otwiera się zapomocą sprężyny i zawierać winna według odwiecznego zwyczaju balsam i przeróżne kadzidła. Ogólna liczba złocistych listków dochodzi do stu. Cały krzak umieszczony jest w srebrnym pozłacanym wazonie, w stylu V wieku, ozdobionym z boków dwoma aniołkami. Cyzelowanie kwiatów i wazonu ma być istnem arcydziełem. Na środku wazonu umieszczony jej z jednej strony wizerunek św. Krystyny, z drugiej zaś napis: *Mariae Christinae Alphonsi XIII Hispaniorum Regis Matri Rosam Auream Leo XIII Pontifex Maximus D. D. D. Anno MDCCCLXXXVI* (Maryi Krystynie Alfonsa XIII-go króla hiszpańskiego matce złotą różę Leon XIII-ty). Spód wazonu nosi wypukłemi literami wykonany napis: *Leo Papa XIII.* Wysokość całego krzaku wraz z wazonem wynosi 80 centymetrów, a cały papieski podarunek spoczywa w futerale z drzewa orzechowego, na którym widnieje kunsztownie rzeźbiony, różnobarwny herb apostolski. Artystyczny ten podarunek wykonał w przeciągu dni 13-tu nadworny jubiler papieski, Antonio Tafani.

Koniec świata w Madrycie. Z niepojętej przyczyny rozeszła się nagle śród niższych klas ludności madryckiej wieść, że w ubiegły wtorek nastąpi koniec świata, czego niechybnym dowodem będzie wschód słońca o godzinie 2 po północy. Zebrał się tysiączny przeszło tłum na wzgórzu przedmieścia Vistelles, lecz słońce nie uważało za stosowne przyspieszyć godziny swego wchodu; zgromadzony lud chcąc sobie ten zawód wynagrodzić, zaczął dostrzegać w chmurach oświetlonych światłem księżyca najróżnorodniejsze przepowiednie blizkiego końca świata. W czwartek rano zebrał się liczniejszy jeszcze tłum i czekał do godziny 3 po południu, aż zjawiły się na zupełnie przejrzystym dotąd błękicie niebios lekkie czerwonawe obłoki, w których wszyscy zgromadzeni dostrzegli św. Piotra, a po nim Jezusa Chrystusa otoczonego świętymi. Cud podobny uważany jest przez ludność madrycką za niechybną przepowiednię końca świata, który tedy nastąpić miał niechybnie 24 z. m. Wieść ta wywołała śród niższych klas wielkie wzburzenie.

Poeta podpisujący się Bożydar, pomieścił w „Kuryerze Warszawskim” wierszyk pełen serdecznej naiwności ludu naszego i wybornie naśladujący go pod względem układu:

OBEREK.

Chłopiec.

Uciekła mi przepióreczka w proso,
Z czarną brewką, z zaplecioną kosą,
A ta kosa i tych ocząt dwoje,
Poprzysiągłem, że muszą być moje.

Poszedłem się pani matki pytać:
Pozwoli-li przepióreczkę chwytać.
Będzie moją, choć się ptaszek droży,
Po matczynej i po woli Bożej.

Dziewczyna.

Uciekłam ci przepióreczką w proso,
Z wiankiem ruty i dziewiczą kosą;
Nie będziesz mnie wiódł w czepcu w swe progi,
Bo mi jeszcze mój wianuszek drogi.

Próżnoś chodził pani matki pytać,
Przepióreczka nie da ci się schwytać.
Gońże sobie, kiedyć taka wola,
Przez zagony od pola do pola...

. . . .

I gonili się tak wciąż w zawody:
Przepióreczka i parobczak młody,
A że chłopcu ta gonitwa zbrzydła
I zastawił na przepiórkę sidła.

Zdradny chłopiec wziął skrzydła sokole,
Poszybował hen! w błękit na pole...

. . . .

Pani matki teraz już nie pyta,
Jeno z ustek pocałunek chwyta.

Bożydar.

Z dziedziny humorystycznej.

Fryderyk Wielki w lutym 1768 r. podczas obiadu zagadnął, jak to było jego zwyczajem: „Cóż tam nowego mówią w Berlinie?”—Przez chwilę panowała cisza, wreszcie jeden z obecnych dygnitarzy odpowiedział: „Mówią, że wkrótce będzie wojna”...

— Głupie plotki—zawołał król—jak nie mają o czem innem, to gadają zawsze o nowej wojnie. Potrzeba im dostarczyć innego przedmiotu.

W parę dni po tem, z rozkazu króla, pojawił się w obu wychodzących wówczas w Berlinie dziennikach artykuł z Potsdamu tej treści: „D. 27 lutego wieczór gęste chmury okryły cały horyzont. Dał się słyszeć grzmot, błyskawice jedna po drugiej przerzynały niebo, grom po gromie huczał, wreszcie upadł grad, jakiego najstarsi ludzie nie pamiętają. Z dwóch wołów zaprzężonych do wozu, któremi chłop jechał do miasta, jeden padł od gradu na miejscu, wiele ludzi poniosło rany na ulicach, a jednemu chłopu grad złamał rękę. Ciężar gradu połamał dachy, wszystkie okna w kierunku wiatru zostały powybijane. Grad wielkości arbuzów pokrył na parę stóp ulice. W kronikach nie spotykamy dotąd przykładu podobnej burzy”.

Wiadomość ta wywołała ogólne zdumienie, szczególniej w Potsdamie. Wiele osób ztamtąd przesłało redakcyom zaprzeczenie, te jednakże nie sprostowały doniesienia, które następnie rozeszło się w prasie europejskiej, a w rok później profesor Titus w Wittenbergu, napisał uczoną rozprawę, w której wypadek ten rozbierał ze stanowiska fizyki i tylko zabicie wołu wydało mu się nadzwyczajnością, a wielkość gradu przypisał temu, że zapewne pojedyncze ziarna skupiły się z sobą.

Pokazuje się zatem że już wtedy prasa służyła skutecznie ku odwróceniu uwagi ogółu, przez ukazanie mu... płaszka na dachu.

* * *

Pod parkanem za Wolskiemi rogatkami, dwóch chłopców pobiło się w straszliwy sposób: Antek urżnął Janka w papę a Janek złapał Antka za łeb i wodził nim przygiętego jak indor gdy drugiego za nos uchwyci. Gdy ich rozbrojono i zapytano o co im poszło?—

— Pokazał mi język, odrzekł Antek, a ja przecież nie doktór cobym języki czyje oglądał.

Podobny wypadek tylko na szczęście nie z pobiciem, zaszedł niedawno w Warszawie między dwoma malarzami. Grono artystów postanowiło pewnemu protektorowi sztuki ofiarować podarek pamiątkowy. Jeden z malarzy uproszony o zajęcie się wykonaniem tego, rozesłał zaproszenia do kolegów o namalowanie na paletrze różnych scen rodzajowych i epizodów komicznych. Spełniono żądanie ale zajmujący się artysta wykonaniem całego planu, pousuwał czyli pozeskrobywał niektóre obrazki, uważając je za słabe pod względem wykończenia artystycznego. Samowola ta nic dziwnego nie spodobała się wszystkim a jednego tak rozgniewała, że zaniósł skargę do sądu z żądaniem wynagrodzenia za zniszczoną pracę. Nieporozumienie więc i tu zaszło... z pokazania języka: chłopcy chwycili się za łby bo chłopcy:—artyści poszli do sądu bo....— Czyż nie było właściwiej poddać się pod wyrok koleżeńskiego areopagu?

* * *

Pan X. słynie z pewności podobania się każdej z pań do której tylko przemówi i uśmiechnie się zalotnie.— Jedną w przechwałkach swoich nie oszczędzał, i zrobił prawie szalejącą z miłości dla niego.—Postanowiła więc dać mu małą nauczkę i gdy znalazła się z nim razem w dość licznem towarzystwie, rozmowę tak poprowadziła niezgadzaniem na pewne zdania pana X. że ten popierając swe twierdzenia rzekł:

— Co do mnie, zaręczam panią, że już wielu kobietom główki... zawróciłem.

— Bardzo wierzę, bo nawet ja sama zawsze głowę odwracam, ilekroć razy pana zobaczę.

* * *

Gdyby można całusy przesełać w naturze przez pocztę lub telegrafy, toby służbę przy nich musiano podwoić. Niedawno w Dalmacyi w okolicy Znajmu, młoda urodna dzieweczka odbierała trzy guldeny przesłane jej pocztą przez narzeczonego. W liście, o przeczytanie którego prosiła urzędnika pocztowego, donosił jej ukochany, że do pieniędzy przyłącza całusa bardzo serdecznego. Dziewczyna zarumieniła się, a urzędnik zobaczywszy że nie odchodzi zapytał:

— Czy czekasz na wydanie przysłanego ci całusa?

Dziewczyna odwracając się zawstydzona szepnęła z najzupełniejszą naiwnością:

— Kiedy przysłał to radabym...

Urzędnik nie namyślając się ucałował dzieweczkę w oba buziaki.—Spłoszona niespodzianą napaścią nie pogniewała się za nią, tylko dziwiła się że w taki sposób przesyłki podobne dokonywają się.

* * *

Jeden z wierszokletów przysłał wiersz do Kuryera świątecznego pod tytułem:

Cała dusza moja ryczy,
Do jedynej Beatryczy.

Redakcya w odpowiedziach oświadczyła: wiersza nadesłanego drukować nie możemy, gdyż z zamknięciem Wystawy sezon ryczenia przeminął.

Drugi zaś wierszyk na konkurs poetycki jakoby przysłany, brzmi jak następuje,

Stasiu nie wyglądaj przez okno,
Bo deszcz pada i jest mokro,
A gdy się przeziębi taki bęben,
Będzie drżał i dzwonił zębem.

* * *

Na zakończenie choć słówko o kulturze niemieckiej nie wadzi.—Otóż sprowadzono z Kameronu do Hamburga kilku murzynów i pokazywano ich za pieniądze. Publiczność w chęci cywilizowania tych czarnych okazów, zaczepkami i dokuczaniami tak ich rozdrażniła, że wreszcie przyszło do bójki na pięście, w której dwóch murzynów ciężko raniono, dwóm zdruzgotano szczęki a jednemu o mało nosa nie urwano!—Cywilizatorom także się dobrze po skórze dostało, jak naszym odmłodzicielom starej pleśni ojczystego zagona, którzy kijem argumentują a wymyślaniem wzajemnem cywilizują.

W interesie własnym Szanownych Prenumeratorów *Tygodnika Mód* upraszamy ich, aby przy odnawianiu dalszej prenumeraty, albo żądania zmiany adresu, lub wysłania zatraconych numerów, oraz przy objawianiu wszelkich reklamacyj, nadsyłać raczyli kartkę adresową niniejszego pisma na opasce naklejoną, lub wypisywać oznaczone na niej numery; a to celem łatwiejszego odszukania w miejscowej kontroli nazwiska prenumeratora, tem samem więc spieszniejszego wykonania objawionego żądania.

☞ Do dzisiejszego Nru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami i arkusz z krojami.

Дозволено Цензурою. Варшава, 19 Іюня 1886 г. Redaktor **J. K. Gregorowicz.** Wydawca **E. Skiwski.** Druk **E. Skiwskiego**, Warszawa, Chmielna Nr 1530 (26 nowy).

Dodatek.

Opis do N-ru 27.

N. 1—2. Ubrania strojne wizytowe.

N. 1. Suknia ozdobiona kokardami. Zobaczyć plecy na dodatku z krojami fig. 80.

Model do ryc. 1 i fig. 80, odrobiony był z gazy wełnianej mienionej, w kolorze niebieskawo zielonym i oliwkowym gładkiej i w prążki z nitek różno kolorowych. Z prawego boku z pod draperyi równo spuszczonej do dołu, w górze w dwie głębokie fałdy złożonej, widać spódnicę plisowaną, z materyału w prążki. Draperya krajana w jednym ciągu, podpięta jest z drugiego boku i ułożona z tyłu sposobem wskazanym na fig. 80, a drugi brzeg boczny marszczy się razem z brzegiem górnym i wszywa w pasek. Do stanika z krótką baskiną ozdobionego plisami i paskiem bawetowym z materyału w prążki, można dodać małą pelerynkę, jak na fig. 80. Kokardy ze wstążki trawno zielonej z pikotami.

N. 2. Suknia ubrana koronką. Plecy na dodatku z krojami fig. 81.

Strojna suknia z jedwabnego czarnego atłasu, ubrana była dwoma 50 i 60 cent. szerokiemi wolantami z koronki Chantilly. Na przednich brytach spódnicy oszytych wązkiem plisowaniem, dolny wolant podpinany jest w płaskie zęby, węzłami z atłasu, a brzegi boczne wpuszczone są pomiędzy zeszycie boków i trenu. Długie końce górnego wolantu, lekko przymarszczonego z przodu, spuszczone są zręcznie po brzegach trenu a w górze przypięte na haftki na baskinie pleców. Przody bawetowego stanika zapięte są podmarszczonym, koronkowym plastronem, któren w dalszym ciągu stanowi chusteczkowy garnirunek na plecach.

N. 3. Serweta na stół bufetowy. Haft kolorowy na płótnie. Deseń na dodatku z krojami fig. 34a i 34b.

Model serwety mającej 142 cent. długości a 40 szerokości, haftowany był na grubem tle płóciennem, przerabianem w drobny owiesek; kontury desenu, któren dla braku miejsca dajemy w dwóch częściach, robione były ściegiem sznureczkowym, grubą bawełną kolorową, nie zmieniającą się w praniu, a środki figur zapełniały drobne pojedyncze mijające się ściegi. Dolny brzeg serwety obrąbionej w koło, zdobi szeroka frendzla macramé w dwóch kolorach, robiona podług r. 34 lub jakiego innego wzoru.

N. 4—5. Pasek do przypinania szycia albo haftu, ozdobiony haftem wypukłym krzyżowym.

Bardzo praktyczny i dogodny przyrząd do przypinania roboty szycia alho haftu, stanowi pasek 3—4 cent. szeroki a 75 długi, zrobiony z taśmy kanwowej w kolorze ècru, a podszyty wstążką w atłasie, takiegoż koloru. W dolny koniec paska zaszyte jest strzemię niklowe w które w sposób wskazany na ryc. 41 w N. 28, wkłada się nogę i przytrzymuję robotę przypiątą w górze. Pasek zdobi szlaczek wyszyty zwyczajnym krzyżowym, albo ściegiem wypukłym podanym na ryc. 5, jedwabiem kordonkowym, kolorowym.

N. 7—8. Kołnierzyki dla małych chłopczyków.

Ryc. 7 przedstawia kolisty, biały płócienny kołnierzyk, oszyty z brzegu pliską $2\frac{1}{2}$ c. szeroką z perkalu ciemno ponsowego w rzucik kolorowy; z tego samego materyału zrobiona jest 10 cent. szeroka krawatowa kokarda. Luźno otaczający szyję kołnierz marynarski ryc. 8, zrobiony był z perkalu w paski białe i niebieskie, i oszyty z brzegu dwoma pliskami 1 cent. szerokiemi, biełemi w centki ponsowe. Krawat stanowią dwa końce 11 cent. szerokie z niebieskiego perkalu, związane węzłem marynarskim.

N. 9—10. Poduszka do kanapy. Haft grubo podkładany, robiony różno kolorowym kordonkiem i złotem.

Poduszka trzymająca 42 cent. w kwadrat, miała tło do haftu z aksamitu cynamonowego koloru, lewa strona pokryta była atłasem cynamonowym z którego dane były także z trzech stron poduszki, bufy 19 cent. szerokie, w środku przewiązane grubym sznurem jedwabnym. Bufy tylko na rogach są nadmarszczone, a dalej wszyte gładko. W czwartą stronę poduszki dana jest na palec szeroka wypustka z bronzowego pluszu; trzy rogi zdobią kokardy ze wstążki bronzowej ottoman, $5\frac{1}{2}$ cent. szerokiej, a róg czwarty rozeta pluszowa z pomponami. Haft wypukły robiony był bajorkami różno kolorowemi i złotem, oraz kordonkami kolorowemi z nitką złotą. Na ryc. 10 dajemy w naturalnej wielkości rzucik na tło aksamitne.

N. 11—17 i ryc. 29. Różne przybory do podróży.

N. 11—12. Apteczka kieszonkowa, ozdobiona pośpiesznym haftem. Forma na dodatku z krojami N. XX fig. 75.

Ryc. 11—12 przedstawia otwartą i zamkniętą apteczkę podróżną, którą przykrawa się podwójnie podług fig. 75, z płótna mocnego szarego, ozdabia wyszyciem, bawełną kolorową, daje się pomiędzy płótna sztywną klejonkę, a prócz tego w dno deseczkę cieniutką w koło ostębnowaną. Do spodniej połowy przykrycia przyszywa się kieszonkę na nożyczki plasterki i t. p., a do przytrzymania flaszeczek służy taśma 2 cent. szeroka, a 32 cent. długa w 5 przegródek przestębnowana. Brzegi objęte tasiemką kolorową; takaż taśma służy do zamknięcia futerału.

N. 13—14. Teka na szkice rysunkowe. Haft kolorowy krzyżowy, na płótnie. Krój na dodatku N. XXII fig. 77.

Tekę do szkiców kraje się z płótna grubego szarego do dłuższej spodniej części przyszywa się trzy kieszonki oznaczone na fig. 77, które służą do schowania brystolu rysunkowego, na największej, środkowej kieszonce przyszyty jest pasek z większemi i mniejszemi przegródkami, do wsunięcia ołówków, kredek i t. p., które mniejsze boczne klapki chronią od wypadnięcia lub złamania. Dla sztywności wsuwa się w kieszonki cienką tekturę. Troczki do wiązania i uszy są z mocnej taśmy.

N. 15. Kołdra podróżna ozdobiona pasami roboty krzyżowej. Deseń roboty na fig. 35. Próbka i sposób przyczepiania pasów do tła flanelowego na ryc. 29.

Kołdrę 154 cent. długą a 130 cent. szeroką, z grubej szafirowej flaneli, zdobią cztery poprzecznie naszyte pasy szydełkowe, 18 cent. szerokie, robione z włóczki angielskiej bronzowej, poprzecznemi, tam i napowrót idącemi rzędami. Podłużne brzegi pasów obrabia się ząbami widocznemi na ryc. 29 i przyczepia do flaneli sposobem tam wskazanym. Brzegi oszywa się grubym sznurem wełnianym.

N. 16. Poduszka pod głowę w kształcie kuli. Krój na dodatku N. XXI fig. 76.

Na kwaterkach przykrojonych z szyrtyngu, podług fig. 76, fastrzyguje się starannie dopasowane, różno kolorowe, rozmaitego kształtu i miary kawałki materyi, które następnie zeszywa się jedwabiem ściegiem łańcuszkowym. Tak wykończone kwaterki zeszywają się wypustką ze sznureczkiem, zostawiając tylko w górze mały otwór, do napełnienia poduszki puchem; nakoniec zeszywa się otwór i zdobi sutą kokardą ze wstążki.

N. 17. Pokrowiec na pled, ozdobiony gałązką haftowaną lub aplikowaną. Deseń na f. 78.

Model odrobiony z płótna szarego, z podszewką z ponsowego perkalu, miał 80 cent. długości, a 85 cent. obwodu. W jeden koniec wszywa się denko czworokątne, 25 cent. długie a 15 szerokie, drugi w odstępie 12 cent. od brzega, przeszywa się na listewkę do nawleczenia. Brzegi podłużne zapina się na guziki, a w odstępie 8 cent. od zwierzchniego brzega, przyszyte jest ucho podwójne, $3\frac{1}{2}$ cent. szerokie a 40 c. długie.

N. 18. Koronka do sukien, poduszek i t. p., robiona na płótnie gazowem.

Kontury deseniu są rzadko dziergane jedwabiem białym na podwleczeniu nitki złotej, z której zarazem robione są pikoty. Tło kwiatów i liści zdobią różne kratki koronkowe i haft płaski robiony jedwabiem białym. Żyłki wyszyć ściegiem długim, nitką złotą.

N. 20. Ubranie do pływania. Krój na dodatku z formami N. XIV fig 60—62.

Majtki i stanik praktycznego pływackiego ubrania krajane są w jednym ciągu, a stanik zapina się na ramionach na guziki. W karczek podwójny, prosty, przód mało nadmarszczony wszywa się trójką do trójki, a plecy wyższe więcej przymarszczone trójką do czwórki. Końce karczka pleców w ząb ścięte, zachodzą na karczek przedni; rękawki wszywa się do stanika od 5 do 6, a do karczka od 5 do 7. Dolną szerokość majtek w miejscu linijką oznaczonem przymarszcza się trochę od krzyżyka do krzyżyka a nad powstałą w ten sposób falbanką naszywa się pasek. Ubranie może być odrobione z flaneli lub perkalu kolorowego; model z ponsowego szwajcarskiego perkalu miał karczek, pasek i pliski z perkalu szafirowego, z wypustkami i muszkami paliowemi. Pasek $4\frac{1}{2}$ cent. szeroki jest do plecków przyszyty.

N. 21—22. Lambrekina ozdobiona haftem kwaścikowym i robotą szydełkową. Deseń na fig. 36.

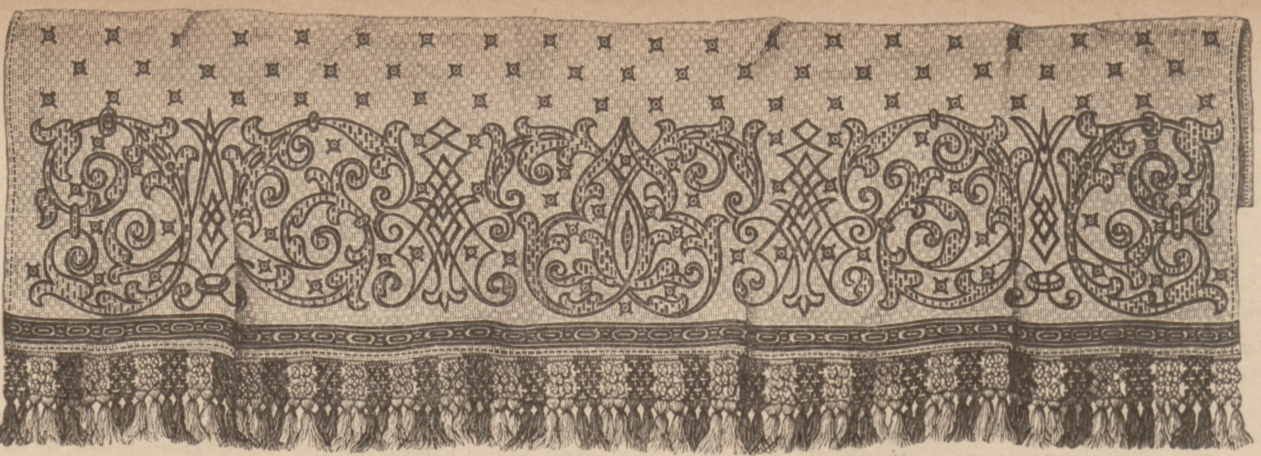
Model lambrekiny odrobionej na kanwie wełnianej



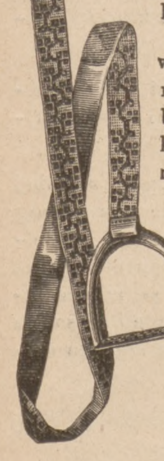
Ubrania strojne wizytowe.

N. 1. Suknia zdobna kokardami. Patrz fig. 80. N. 2. Suknia przybrana koronką. Patrz fig. 81.

czerwonawo bronzowej, przeznaczonej do kosza na papiery lub roboty, miał 30 cent. długości i prawie tyle górnej szerokości. Brzeg zdobiła wązka koroneczka szydełkowa z pikotami. Do haftu kwaścikowego i do szlaczku podanego w naturalnej wielkości na r. 21, użyta była włóczka w kolorach, blado niebieskim, oliwkowym i orzechowym; a do koronki czerwono bronzowa, oliwkowa i niebieska. Próbkę i opis ściegu kwaścikowego na podłożeniu kanwy, podaliśmy na ryc. 25 w N. 16 z r. b. Ściegi listeczkowe oznaczone na fig. 36 kryseczkami



N. 3. Serweta na stół bufetowy. Haft kolorowy na płótnie. Deseń na dodatku z krojami fig. 34a i 34b.



N. 4. Pasek do przypinania roboty, ozdobiony wyszyciem podług ryc. 5.

robić trzeba kolorem oliwkowym i blado niebieskim.

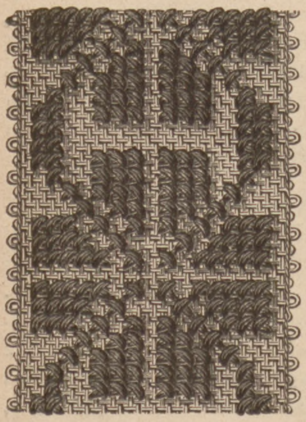
N. 25—28. Torba na bieliznę kąpielową. Robota tkacka czterema czółenkami na warsztaciku ręcznym.

Torba trzymająca 32 cent. głębokości a 39 szerokości, miała podszewkę z ceraty, a wierzch z roboty tkackiej kanwowej. Wątek roboty stanowiły grube nici a osnowę takież nici, włóczka kastorowa w kolorze jasno i ciemno bronzowym i czerwony ze złotem sznureczek. Próbki roboty tkackiej i frendzli dajemy na ryc. 26—28.

N. 33. Szalik w pasy.

Model mający 175 cent. długości a 50 szerokości, był z ciemno bronzowego wełnianego materyału mającego połysk jedwabiu. Pasy deseniowe z tłem ażurowem, przerabiane były w odstępach 15 cent. paskami sznelowemi, 5 cent. szerokiemi.

N. 35. Suknia z bluzkowym stanikiem. Krój na dodatku z formami N. XIX fig. 72—74.



N. 5. Wyszycie do ryc. 4.

Przy sukni białej kaszmirowej bogato ubranej koronką, dany był stanik bluzkowy pod pasek spódnicy podchodzący, z karczkiem koronkowym i rękawami, które mogą być bez podszewki. Na modelu do ubrania spódnicy i stanika służyła mocna koronka gipiurowa. Na małym modelu kroju figury 72, litery *a c d* wskazują formę podszewki, na której części zwierzchniego materyału *b* oraz *e* naszywają się w górze przymarszczone i dopełnione karczkiem, a na wcięciu w pasie sfałdowane podług znaków. Litery *g* i *h* wskazują kształt i miary epoletów, złączonych na ramieniu węzłem, w górze i u dołu przyfałdowanych, przyszytych na rękawach od punktu do krzyżyka i razem z niemi w wykrój pachy wszytych.

N. 36. Suknia z bawetowym stanikiem.

W głęboki stanik różowej atłasowej sukni, wstawione są z przodu i z tyłu, kliniaste części tiulu różowego, wyszytego perełkami białemi szmelcowanemi, zakończone z brzegów szerokiemi wstążkami, oszytemi różowemi, woskowemi perełkami. Kołnierz stojący naszyty perełkami. Szerokie rękawy tiulowe przepięte w bufy sznurami pereł. Na ramionach kokardy z węższej wstążki.



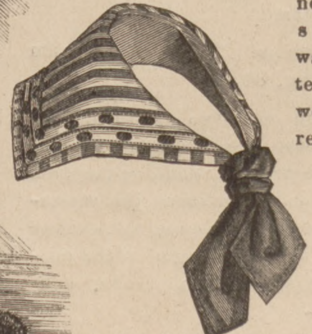
N. 6. Ząbki szydełkowe.



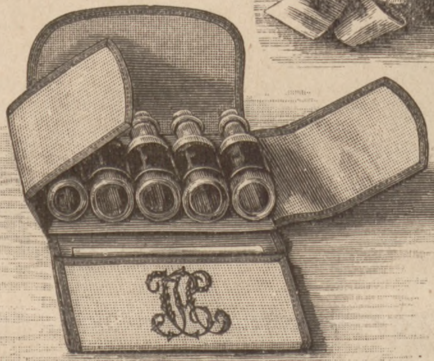
N. 7. Kołnierzyk płócienny dla chłopczyka.



N. 9. Poduszka do kanapy. Patrz ryc. 10.



N. 8. Kołnierzyk perkalowy dla chłopczyka.



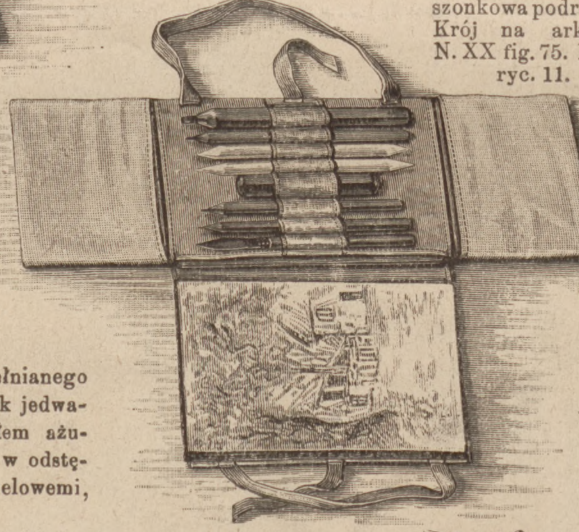
N. 11. Apteczka kieszonkowa podróżna Patrz ryc. 12. Krój na arkuszu N. XX fig. 75.



N. 12. Apteczka kieszonkowa podróżna. Krój na arkuszu N. XX fig. 75. Patrz ryc. 11.



N. 13. Teka do szkiców rysunkowych. Patrz ryc. 14. Krój na arkuszu N. XXII, fig. 77.



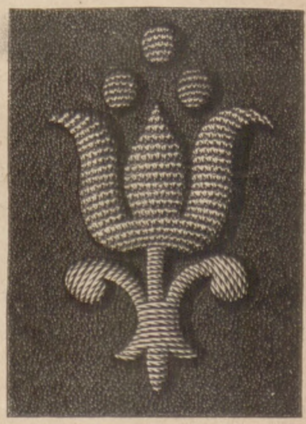
N. 14. Teka do szkiców rysunkowych. Patrz ryc. 13.

Opis do N-ru 28.

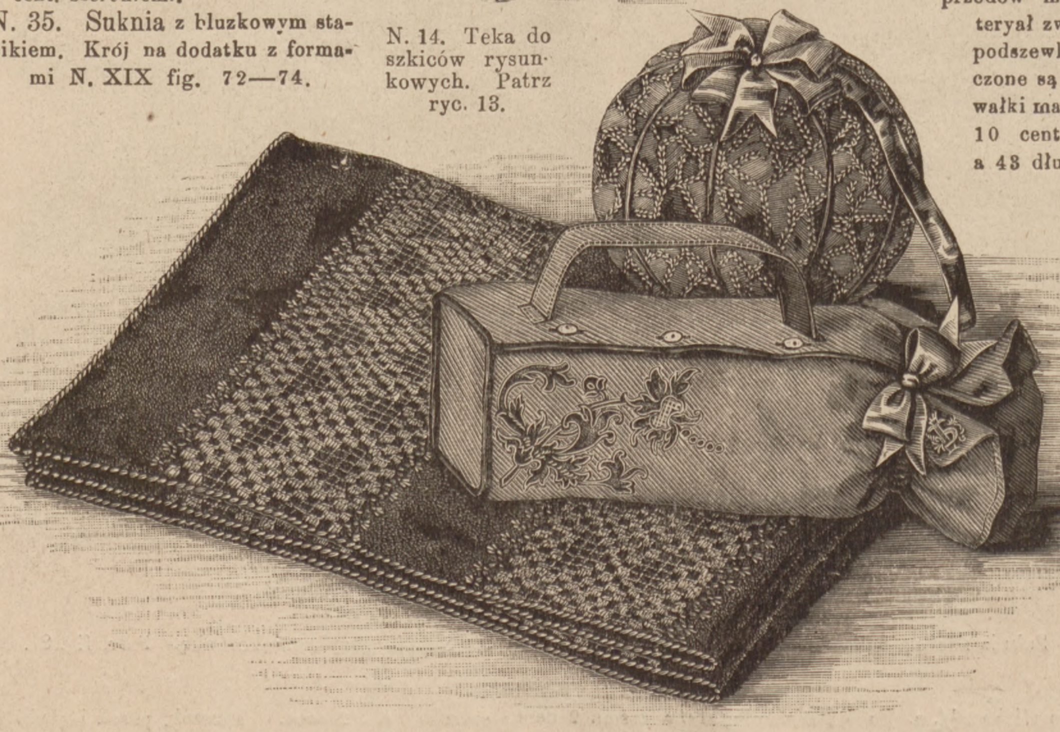
N. 1—2. Ząbki do bielizny.

N. 4—37. Suknia z długim stanikiem, dla panienki lat 10-12. Krój na arkuszu N. IV, fig. 16—21.

Odrobiona z niebieskiego zephiru w paski z supełków białych i ponsowych przybrana haftem lub koronką szydełkową i wstążką 6 cent. szeroką w płomienie ponsowe i niebieskie. Plastron przedni szyty oddzielnie, w górze dany z gładkiego kawałka haftu w dolnej połowie zmarszczony z kawałka kanwy (36 cent. szerokiego) do lewej połowy przodu jest od spodu przyszyty, do prawej przypina się na guziki. Brzegiem przodów między materyał zwierzchni i podszewkę wpuszczone są proste kawałki materyału, po 10 cent. szerokie, a 43 długie, u góry zmarszczone do 6 cent., u dołu do 2 cent. szerokości. Plecy stanika krają się ze zwierzchniego materyału szerzej i na gładko dopasowanej podszewce w górze zakładają w drobne fałdki u dołu przemarszczają kilkakrotnie. Rękawy z materyału zwierzchniego krają się szerzej, z podszewki zaś wązko, u dołu ręki przymarszczają i zakończają gładkim mankietem, danym od h i k do linii cienkiej. Kołnierz od krzyżyka do krzyżyka fałduje się do odpowiedniej sze-



N. 10. Rzucik do ryc. 9.

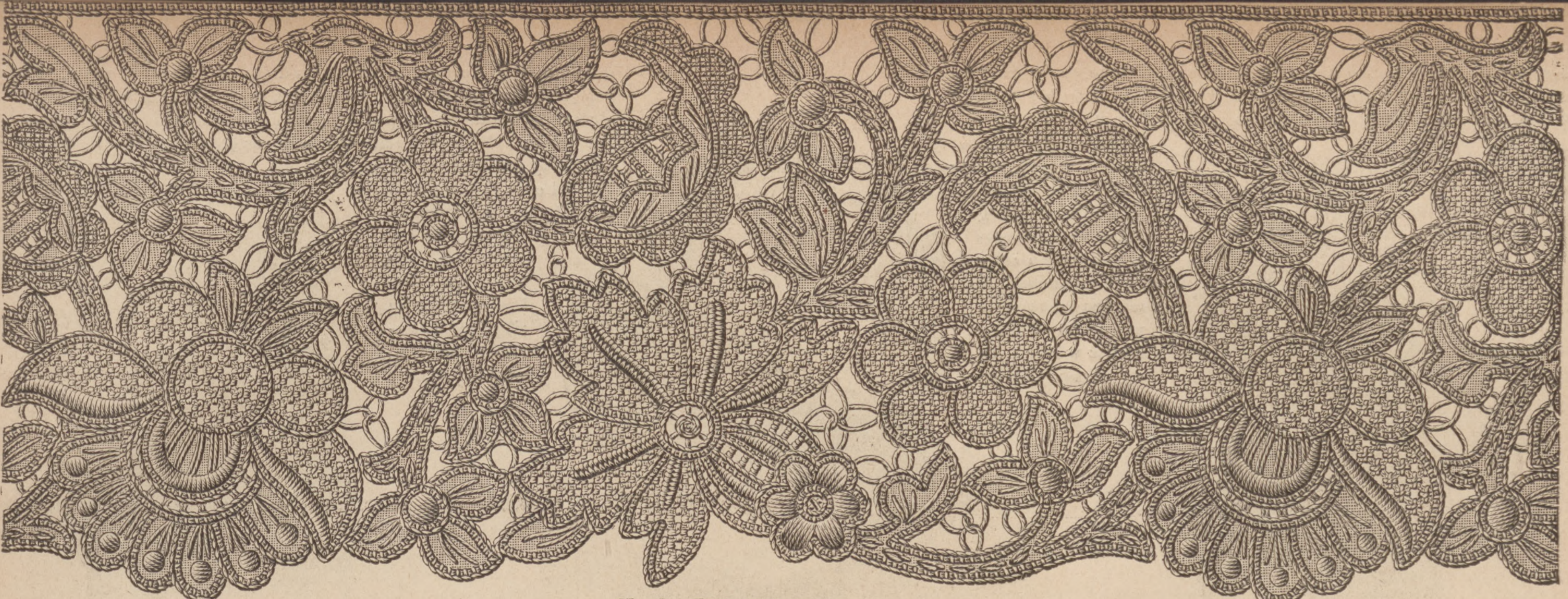


N. 15—17. Przybory podróżne. Patrz ryc. 11—14.

N. 15. Kołdra podróżna. Patrz ryc. 29 i fig. 35.

N. 16. Poduszka pod głowę. Mozajka w guście wschodnim. Krój na arkuszu N. XXI, fig. 76.

N. 17. Pokrowiec na pled. Deseń patrz fig. 78.



N. 18. Koronka do sukien, serwet i t. p.

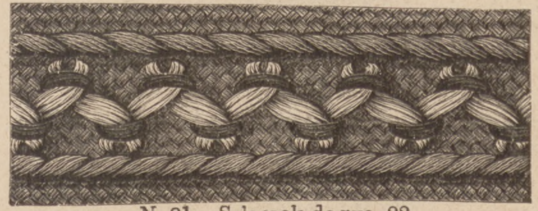
rokości. Do stanika przyszywa się spódniczkę podszewkową 164 cent. szeroką, pokrytą zwierzchnią spódniczką w około marszczoną 275 cent. obwodu mającą, z lewego boku wysoko podpiętą kokardą i odsłaniającą dwie haftowane falbany.



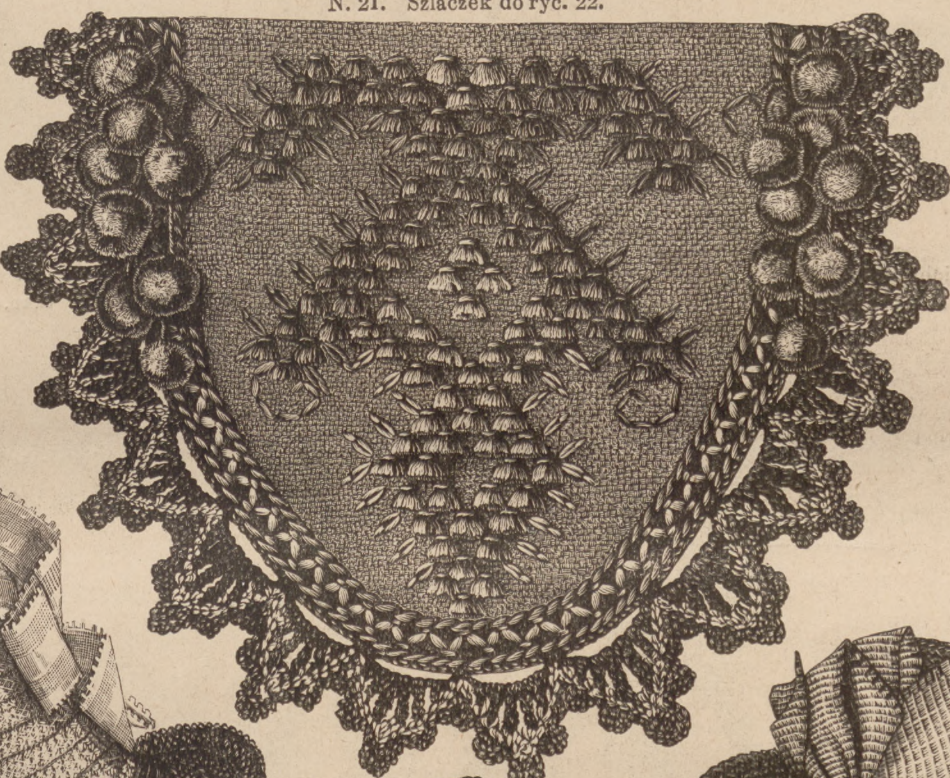
N. 19. Płaszcz kąpielowy. Opis w N-rze 28. Krój na arkuszu N-ru XVII, fig. 70.

N. 5 i 38. Sukienka z vêtement dla panienki lat 9-11. Krój na arkuszu N. XI fig. 43—46.

Stanik szyje się bez podszewki z wyjątkiem prawej połowy przodu zachodzącej na bok. Podług fig. 43 kraje się lewą połowę przodu a linią cienką oznaczona jest podszewka prawej połowy przodu. Materyał zwierzchni prawej połowy przodu w górnej połowie kraje się podług fig. 43, w dolnej przedłużonej jako vêtement podług fig. 43 a. Fałdki pod szyją i w pasie składają się gwiazdką do gwiazdki i dwukropkiem do dwukropka. Spódniczka liczy 180 cent. szerokości a 48 cent. długości i oszyta jest falbaną plisowaną 21 cent. szeroką; upięcie vêtement wskazuje ryc. 38. Rękaw powyżej linii cienkiej przymarszcza się trzy razy do 20 cent. szerokości. Kołnierz stojący 4 cent. szeroki. Rycina 5 przedstawia sukienkę z bawełnianego materyału w kratkę ponsową, niebieską i żółtą, przybraną haftem 7 cent. szerokim i granatową wstążką morową 6 centymetrów szeroką, zaś na rycinie 38 widzimy sukienkę z gładkiego zephiru oszytą siatkową koronką.

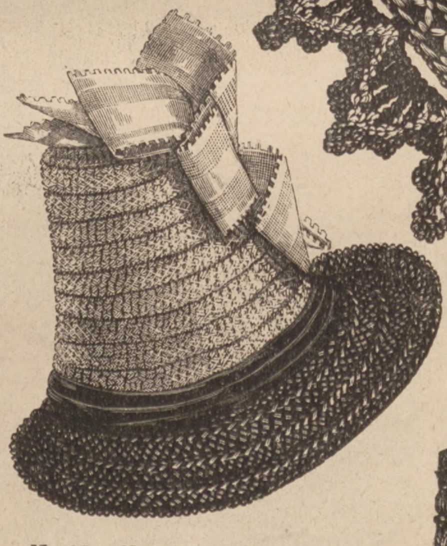


N. 21. Szlaczek do ryc. 22.



N. 22. Lam-
z haftem
kowym.
patrz

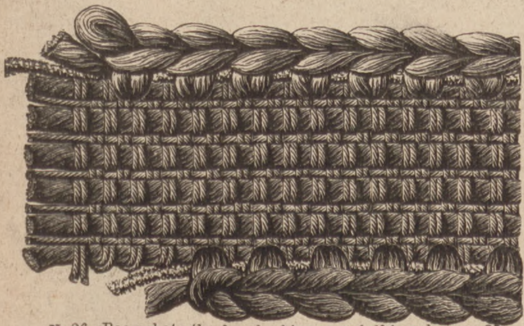
brekina
kwaści-
Deseń
fig. 36.



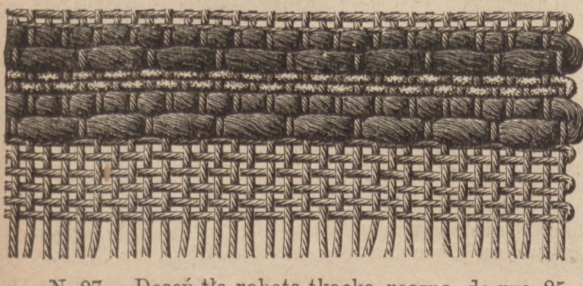
N. 23. Kapelusz z wysoką główką.



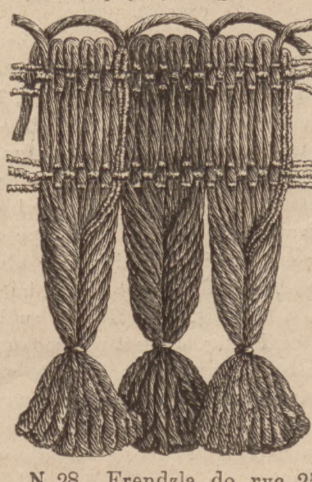
N. 25. Torebka na przybory do kąpieli. Patrz r. 26—28.



N. 26. Pas robotą tkacką obrobiony szydełkiem do ryc. 25.



N. 27. Deseń tła robotą tkacką ręczną, do ryc. 25.



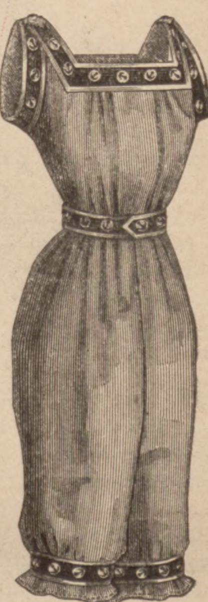
N. 28. Frendzla do ryc. 25.

N. 6. Żabot z koronki i wstążki.

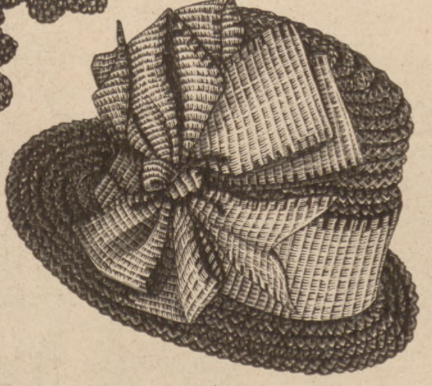
Ułożony jest z koronki saskiej ponsowej wywodzonej białą bawełną, 10 cent. szerokiej i z blado żółtej atłasowej wstążki $8^1/_2$ cent., na kołnierzyku wstążka zaplisowana jest w dwie fałdy, do 4 cent. szerokości. Łatwy układ żabotu wskazuje ryc. 6.

N. 7. Żabot kamizelkowy.

Podstawę kamizelki stanowią **dwa kawałki** wstążki gazowej po 46 cent. długie, połączone z sobą podszytemi od spodu poprzecznie kawałkami wstążki, pod szyją 18, w pasie 14 u dołu 16 cent. długiemi; garnirowanie zwierzchnie marszczone jest z gazowej koronki $8^1/_2$ cent. szerokiej. Kołnierzyk stojący stanowią dwa rzędy koronki zwróconej w górę, przepinanej pukielkami z wstążki. Dwie kokardy przypięte podług ryc. 7.



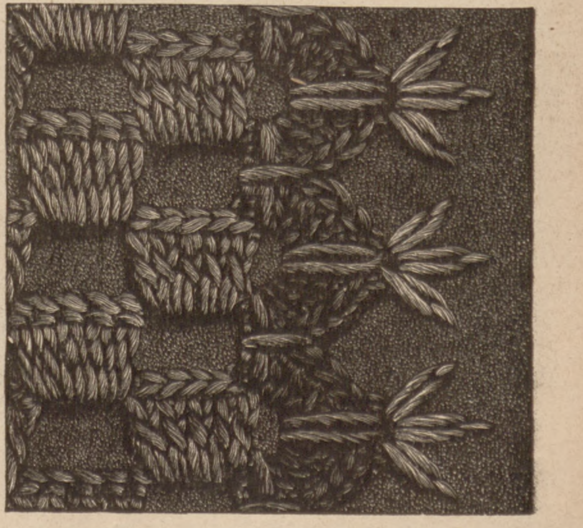
N. 20. Ubrania do pływania. Krój na arkuszu N. XIV, fig 60—62.



N. 24. Kapelusz słomkowy.

N. 8. Suknia z ażurowego materyału. Krój i plecy sukienki patrz na arkuszu N-ru VIII, fig. 32—32 a.

Podszewkę pod stanik i spódnicę z bronzowego ażurowego wełnianego materyału stanowi satynka bronzowa; do przybrania użyty reps jedwabny. Spódnica satynkowa zakończona w około wolantem marszczonym 30 cent. szerokim ma na przednim brycie dane dwie głębokie kontrafałdy, dochodzące aż do paska. Środkiem kontrafałd zwierzchu naszyte są plisy repsowe 15 cent. szerokie u dołu z boków sukni zachodzące na wolant. Takież plisy dane są na brytach draperyi, jak to widać na fig. 32 a; dwa przednie bryty krają się podług litery *a* na fig. 32 i górnym sfałdowanym brzegiem wszywają w pasek od sukni, zapięty z boku; brzegi boczne sfałdowane ściśle od 45 do 130 schodzą się z tyłu pod puklami



N. 29. Przyszycie pasa szydełkowego na flanelowem tle kołdry. Patrz ryc. 15.

z repsu, po 30 cent. długości a 16 szerokości. Pod te pukle, przypinane na haftki do karoczka stanika, podsunięty jest bryt tylny *b* w górze sfałdowany od 44 do 112, pozostające brzegi od 1 do 25 i od 132 do 165 wszyte są w pasek. Krzyżyki i kropki wskazują fałdy podpinające bryt z tyłu. Dolny brzeg krzyżykiem do krzyżyka złożony i zszyty niewidocznie w miejscu oznaczonem przez 80 złożony wzdłuż w fałdy; lewy brzeg boczny



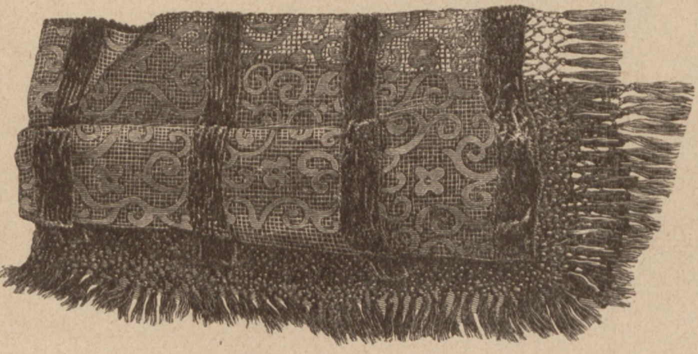
N. 31. Kapotka tiulowa.



N. 30 Kapelusz ogrodowy łyczkowy.



N. 32. Kapotka słomkowa.



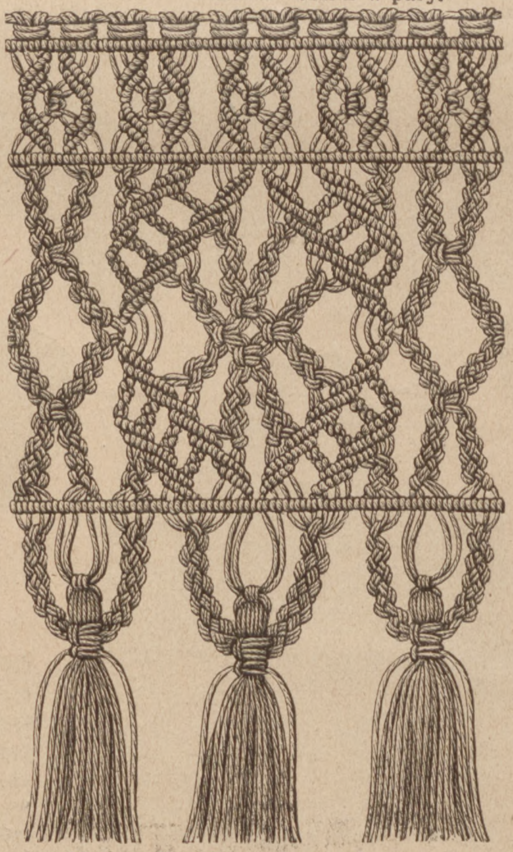
N. 33. Szalik w pasy.

fałduje się od 120—142. Przody stanika zdobi plastron, zapięty z boku na kryte haftki, pokryty krzyżowanem plisowaniem repsowem; brzegi plastronu zachodzą pod fałdowanie z ażurowego materyału, 32



N. 35. Suknia z bluzkowym stanikiem. Krój na arkuszu XIX, fig. 72—74.

cent. szerokie, dane wzdłuż przodów. Oryginalna szarfa zakończona kolcami liczy 7 cent. szerokości 82 długości i złożona jest podwójnie z repsu.



N. 34. Frendzla robotą wiązaną, (macramé).

N. 9 i 34—35. Sukieneczka wycięta z bluzką, dla dziewczynki lat 2—4. Krój i bluzka na arkuszu N. XII, fig. 47—54.

Uszyta z ponsowego szwajcarskiego perkalu (andrinople) jest na ryc. 9 oszyta szydełkową koronką a na r. 35 szlakiem drukowanym fabrycznie. Na dnie chłodniejsze pod wyciętą sukieneczkę kładzie się bluzkę, przedstawioną oddzielnie na ryc. 34 i na fig. 54. Przód sukienki krajany podług fig. 47 jest na środku przy wykroju szyi i w pasie na 8 cent. szerokości przymarszczony, między dwoma kontrafałdami danemi przez całą długość. Część spódniczkowa odcięta z boków od stanika (patrz przecięcie na fig. 47) i dopełniający ją bryt tylny fig. 49 są ułożone w kontrafałdy i przyszyte do stanika dając wypustkę na szwie. Plecy zapięte środkiem na guziki założone są przy brzegach w płaskie fałdy. Krótkie rękawki dane z podwójnego materyału schodzą się na ramieniu przy *i*; kołnierz w formie karczka, ostębnowany w około brzegów przyszyty jest do wykroju szyi od *e* do *f*, przez *g* do *h*. Przed wykrojeniem bluzki podług fig. 52, zakłada się materyał w drobne zakładki sięgające do listewki podszytej w pasie; wykrój szyi otacza wszyweczka haftowana i koroneczka.

(D. n.)



N. 36. Suknia z bawetowym stanikiem. Podług modelu paryzkiego z magazynu M-me Laurence Hardy— Ste-Anne N. 11.